

# **Informator Krajoznawczy**

Nr 2/102 (luty) 2018



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze  
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra  
Komisja Krajoznawcza**

---

## **Wprowadzenie**



Oddając lutowy numer Informatora Krajoznawczego mam świadomość, że poświęcam go przede wszystkim mojemu pobytowi w Tanzanii, podczas którego udało mi się wejść na najwyższą górę Afryki – Kilimanjaro. Myślę jednak, że jest to góra, o wejściu na którą marzy tak wiele osób, że moja relacja może im pomóc w podjęciu decyzji o wyruszeniu na szlak.

Oczywiście oprócz tego zamieszczam relację z Tour Salonu, podczas którego wyróżniono jeleniogórczan i przedstawiam spotkanie podsumowujące działania podejmowane podczas Roku Hofmanowskiego w Szklarskiej Porębie oraz podaję wyniki Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy

Ojcowiznę”, którego finał na etapie wojewódzkim został zorganizowany w Bukowcu.

Nie omieszkam także przekazać relacji z pierwszej wycieczki Rajdu na Raty. Mam nadzieję, że będzie to dobra zachęta do uczestniczenia w kolejnych wycieczkach z tego cyklu.

Życzę miłej lektury.

**Krzysztof Tęcza**

Spis treści:

- Str. 1 Wprowadzenie
- Str. 3 Kilimanjaro – góra wyśniona
- Str. 56 Region jeleniogórski na Tour Salonie 2018
- Str. 60 W Szklarskiej Porębie wszystkie drogi prowadzą do Włastimilówki
- Str. 63 Pierwsza wycieczka Rajdu na Raty 2018 – rozpoczęcie sezonu turystycznego
- Str. 65 Ogólnopolski Młodzieżowy Konkurs Krajoznawczy „Poznajemy Ojcowiznę 2018”

## Kilimanjaro – góra wysniona

Jak pamiętam, Kilimanjaro, od zawsze była moim marzeniem. Jeszcze gdy byłem nastolatkiem chciałem wyruszyć z wyprawą na Kili. Oczywiście w tamtych czasach nie miałem bladego pojęcia o tym co mnie może tam spotkać, o tym co jest potrzebne by zrealizować swój zamiar wejścia na najwyższą górę Afryki. W zasadzie tylko tyle o niej wiedziałem, że jest nazywana Białym Dachem Afryki. Białym bo pokrytym wiecznym śniegiem. Przez wieki dla mieszkających tam ludzi była to góra groźna, góra która skrywała przed światem wiele tajemnic. Tak naprawdę nikt nie wiedział co tam, na tej wyniosłej górze, się dzieje. Nikt nie wiedział czy próba wejścia nań jest bezpieczna.



*Na szczycie*

Kilimanjaro to właściwie masyw górski wyrastający niemal z poziomu oceanu wprost do nieba, na niebotyczną wysokość 5895 metrów n. p. m. Tubylcy po okresie strachu zaczęli czcić Kili jak Boga, uważając ją za świętą górę. Faktycznie Kili była górą niesamowitą. Nie dość, że przy panującej u jej podnóża temperaturze nierzadko przekraczającej 30 stopni Celsjusza na wierzchołku ciągle zalegał śnieg, którego przecież przeciętny Afrykańczyk nie znał, a niższe partie góry porastał gęsty

las deszczowy, to jeszcze u góry było widać potężny krater wulkaniczny. Kilimanjaro bowiem to trzy stożki wulkaniczne. Co prawda nieczynne ale zawsze. Najwyższy z nich to Kibo drugi to Mawenzi (5149) a trzeci Shira (3987). Mawenzi i Shira są stożkami martwymi, jednak Kibo znajduje się w stanie uśpiania i może ponownie wybuchnąć. Najwyższym szczytem na krawędzi krateru Kibo jest Uhuru Peak – Szczyt Wolności (5895 metrów).

W latach młodości wiele słyszałem o wyprawach na różne kontynenty. Przede wszystkim były to wyprawy do Azji, w Himalaje i Karakorum. O Afryce już nie było tak wiele słycać. Jednak co jakiś czas pojawiały się ciekawostki o Kilimanjaro. Zresztą pierwszy człowiek wszedł tam dopiero w roku 1889. Pierwszym Polakiem, który stanął na szczycie w roku 1910 był nim Antoni Jakubski. Jak więc widać góra ta długo opierała się powszechnemu poznaniu. Ale gdy znalazł się tam pierwszy człowiek inni chcieli dokonać tego samego. Zwłaszcza, że w świat poszła wiadomość jak piękny widok rozpościera się z krateru. Jak piękne są tam wschody słońca. Dlatego też w roku 1932 zbudowano pierwsze schronisko mające ułatwiać turystom wchodzenie na szczyt.



*Krater Kibo*



Dzisiaj gdy byłem już na tej najwyższej wolnostojącej górze na świecie wiem, że to co tam zastaniemy, to co zrobiono przez tych ponad sto lat turystycznego wykorzystywania masywu to coś niesamowitego. Dokonano tu czegoś wielkiego. Praktycznie stworzono cały przemysł służący turystom. Dzisiaj dla potrzeb przybywających tu osób pracuje kilka tysięcy ludzi. Teren masywu został w roku 1973 objęty ochroną prawną jako Narodowy Park Kilimanjaro. Skutkuje to przede wszystkim faktem ograniczonego dostępu do góry. Całość została ogrodzona a wejść na poszczególne trasy strzegą strażnicy pilnujący bram. Oczywiście nikt nie zabrania wstępu do Parku ale wiąże się to z koniecznością uiszczenia stosownej opłaty za wstęp oraz poddaniu się regulaminowi obowiązującemu osoby przebywające na terenie Parku. Przede wszystkim chodzi o to by niepotrzebnie nie dewastować środowiska naturalnego. Najbardziej widoczną zmianą jaką zauważyła przeciętny przybysz jest zakaz wnoszenia na teren Parku popularnych butelek plastikowych z wodą lub innymi napojami. Od kilku lat wolno wnosić tylko camelbaki lub specjalne pojemniki na płyny. A wodę do picia czerpie się ze źródeł znajdujących się w terenie. Dawniej w poszczególnych bazach można było zakupić różne napoje a nawet piwo. Ludzie jednak po wypiciu płynów nagminnie wyrzucali puste opakowania do lasu. Obsługa Parku nie nadążała z usuwaniem śmieci. I dzisiaj niestety poza źródlaną wodą nie mamy dostępu do żadnych innych płynów. Dopiero po zejściu na dół, do bram wyjściowych możemy skosztować czegoś innego w smaku.

No i stało się. Piąta rano. Na dworze jeszcze ciemno. Jestem w pociągu do Warszawy. Spakowany, i mimo dużych obaw, gotowy do drogi. Moim celem jest Kilimanjaro, góra o zdobyciu której marzyłem chyba od zawsze. Niestety, wcześniej jakoś nie było mi dane próbować ją zdobyć. W końcu gdy w lipcu 2017 roku zdecydowałem się spróbować swoich sił w górach wysokich, jadąc do Indii, maszerując przez Tybet i osiągając niebotyczne, jak dla mnie wysokości, najpierw cztery, później pięć tysięcy metrów n. p. m., by w końcu ustalić swój rekord na 5600 (przełęcz Krdung La), stwierdziłem że nie jest to dla mnie rzecz nieosiągalna. Mimo wszystko!

Dlatego słuchając wspomnień i uwag znajomej, która była na Kili kilka lat temu, wyruszając – mimo wspomnianych obaw – bo wszyscy w koło raczej nie podzielali mojej chęci wybrania się na Dach Afryki – wyruszyłem. Oczywiście przed wyjazdem naoglądałem się przeróżnych filmów pokazujących piękno Kili, ale także związanych z wyprawą niebezpieczeństwach. W końcu Kili to góra marzeń wielu ludzi na całym świecie, ale to także góra, z której wielu turystów zniesiono w plastikowym worku.

Jak by nie patrzeć Kili to, mimo wszystko, spore wyzwanie, nie tylko dla osób w s​lusz​nym wieku ale tak​e dla m​lodych „supermen​ow”.



Wys​luchawszy pomocnych rad osoby, kt​ora by​ła ju​z na tej g​orce, mia​łem u​latwione zadanie na etapie doboru ekwipunku czy sposobu pakowania plecaka. Przede wszystkim cenne okaza​ły si​e rady dotycz​ące zachowania si​e tam na miejscu. Wiedzia​łem co mo​e mnie czeka​c. Jakie mog​ą spotka​c mnie niemi​łe niespodzianki. Wiedzia​łem kiedy mo​e rozbole​c mnie g​lowa uniemo​zliwiaj​ac dalszy marsz, kiedy mo​e rozregulowa​c si​e m​oj uk​lad trawienny. Wiedzia​łem kiedy niesienie lekkiego plecaka wyda mi si​e wysi​lkiem ponad si​ly. Mimo jednak tej pozytywnej wiedzy wci​a​z istnia​ły we mnie obawy. Co prawda by​ły one coraz mniejsze. Coraz bardziej przewa​za​ła we mnie wo​la walki, ale do ko​nca, do przybycia na Czarny L​ad, nie wiedzia​łem czy psychicznie jestem ju​z gotowy na podj​ecie tak du​zego wyzwania.

Mus​e tutaj zaznaczy​c, ​e nie jestem cz​owiekiem, kt​ory wyrusza na tak​a wypraw​e bez przygotowania, ​e wspomn​e tutaj miesi​eczny pobyt w Indiach. Ca​ły czas chod​e po naszych Karkonoszach. Tylko w styczniu by​łem cztery razy na ​niej​ce. Corocznie prowadz​e kilkadziesi​t (60-80) wycieczek pieszych, minimum dziesi​ciokilometrowych. Cz​e​sto samotnie wyruszam na trasy 30-50 kilometrowe. My​s​l​e zatem, ​e od strony kondycyjnej powinno by​c dobrze. Wyposa​enie w stosowny sprz​et te​z mam wystarczaj​ace. M​e​cz​a mnie jedynie obawy czy dam rad​e.

Wracaj​ac do pocz​atku podr​o​zy. U nas prawie wiosna. W Warszawie ​nieg i zimno. A ja w lekkim odzieniu. Wszak zaraz (w Afryce) ma by​c ponad trzydzie​ci stopni

ciepła. Ciepłejsze rzeczy spakowane w głównym plecaku. Wytrzymam – myślę sobie. Przecież z Dworca Centralnego na lotnisko tylko kawałek. Nie muszę nawet wychodzić z budynku. Co pół godziny jedzie tam pociąg. Trochę muszę się namęczyć dźwigając dwa plecaki, bazowy – 17 kg, podręczny – 7 kg. To jednak drobnostka. Jeszcze jestem w pełni sił. Pewnie tam na miejscu wszystko się pozmienia.

Zaczynam odbierać od najbliższych i znajomych, którym zdradziłem swoje zamiary, oznaki wsparcia i słowa otuchy. To dobrze – takie gesty zawsze pomagają. Dla mnie ważne są te, które nie są przysyłane tylko grzecznościowo, ale płyną ze szczerego serca. Ważne są słowa, a w zasadzie prośba żony, bym wrócił z tej wyprawy cały i zdrowy.

Ale oto jestem na lotnisku. Muszę trochę poczekać, przyjechałem kilka godzin za wcześnie. Takie niestety mamy połączenia Jeleniej Góry ze stolicą. Tak więc rozpocząłem pierwsze notatki z podróży. Cały czas myślę czy starczy mi prądu do zabranych urządzeń – aparatu fotograficznego i telefonu. Co prawda podjąłem stosowne kroki w tym kierunku, nie jestem jednak pewien, czy będą one wystarczające.

Przedemną cztery etapy podróży. Najpierw samolotem do Wiednia. Myślę, że tu nie będzie niespodzianek, i że czas szybko zleci. Przecież to niedaleko. Sobieski dał radę, dam i ja! Niebawem poznam lidera wyprawy oraz pozostałych uczestników. Ma nas być 17 osób. To dużo jak na tego typu wyprawę. Powinno być o połowę mniej. Mam jednak nadzieję, że organizator wie co robi.

Nareszcie, jesteśmy odprawieni. Nie powiem żeby obyło się bez małych zawirowań. Najważniejsze, że już wsiadamy do samolotu. Tak jak było do przewidzenia nawet nie zauważyliśmy kiedy dolecieliśmy do Wiednia. Ledwie samolot wzbił się w powietrze już zaczął schodzić do lądowania. Muszę przyznać, że pokrzepiło mnie to trochę. Pomyślałem sobie, że czas szybko zleci. Niestety kolejny lot z Wiednia do Addis Abeby trwał już znacznie dłużej. Musieliśmy przelecieć nad Europą i dotrzeć aż na dół Afryki, za równik. Tym razem samolot był ogromny. Samo wejście na pokład i zajęcie swoich miejsc zajęło nam sporo czasu. Nie było jednak źle, przynajmniej czas nam się nie dłużył. Zaraz po starcie zaserwowano nam obiad. Już nam się podobało. Mogliśmy skosztować zupełnie innego jedzenia niż to do jakiego przywykliśmy w domu. Zanim dolecieliśmy do celu podano nam drugi posiłek. Dziwne to jeść obiad w porze nocnej. Normalnie o tej porze się śpi.

Gdy nad ranem dotarliśmy do stolicy Kenii mieliśmy chwilę czasu by rozprostować nogi. Teraz oczekiwaliśmy na kolejny samolot, którym mieliśmy dotrzeć do Aruszy na Kilimanjaro International Airport w Tanzanii. Na razie nie czuliśmy, że jesteśmy w Afryce. Słońce dopiero miało wstać. Nie czuliśmy specjalnego gorąca. Ale, jak to się mówi, wszystko przed nami.



Po wylądowaniu w Tanzanii czekała nas pierwsza przygoda. Przybyłych ustawiono w długiej kolejce do wejścia na halę przylotów. Wszystkie drzwi były zamknięte poza jednymi, przy których stali mundurowi sprawdzający nasze dokumenty. Jak się okazało skupili się oni głównie na jednym dokumencie, na żółtej książeczce, w której mieliśmy wpisane odbyte przed wylotem szczepienia. Bez tego dokumentu nie przepuszczano nikogo. No i tak jak było do przewidzenia, okazało się, że ktoś z naszych nie ma tego dokumentu. Oczywiście odprawiono go z kwitkiem. Jak się okazało przez roztargnienie schował on swoją książeczkę do głównego plecaka, który przecież nie był w tym momencie osiągalny. Byłoby ciężko gdyby nie jakieś zawirowanie. Wytworzył się mały bałagan podczas kontroli, co umożliwiło „naszemu” przemknąć do budynku i dalej wszystko poszło gładko. Odebraliśmy główne plecaki i mogliśmy wyjść na zewnątrz by poczekać na umówiony transfer do hotelu.

Nasze bagaże zapakowano na dach małego autobusiku a my rozsiedlimy się wygodnie w środku. Zaczęliśmy już odczuwać panującą tu temperaturę. Słonko dawało znać o sobie. Do hotelu mieliśmy około godzinki jazdy. Z ciekawością rozglądaliśmy się na wszystkie strony. Niestety to co widzieliśmy całkowicie nas

rozczarowało. Żadnych słońi czy żyraf. Na lewo i prawo zupełnie płasko. Wszędzie jest zielono. Zastanawiałem się nawet czy aby na pewno jesteśmy w Afryce. Przecież powinno tu być pusto. Skąd więc tyle zieleni? Po chwili wszystko wróciło do normy. Jak okiem sięgnąć widać piaski, na których rosły tylko krzaki i niewielkie pojedyncze drzewa. Pasły się tu stada kóz i krów. Zarówno jedne jak i drugie były jakieś takie chude i niewielkie. Nie takie dorodne jak u nas.

Wszędzie widzieliśmy domki wielkości altanek. Wszystkie murowane, kryte blaszanym dachem. Część domów była otoczona wysokim na 2 metry murem wzniesionym z betonowych bloczków. Miało się odczucie jakby więcej materiałów budowlanych zużyto na te mury niż na same domy.

Wzdłuż drogi ustawiono tysiące jeśli nie dziesiątki tysięcy różnych sadzonek. Przygotowane były dla ewentualnych nabywców, jako pojedyncze roślinki w doniczkach. Przy domach rosły, jak dla nas chwasty. Tak naprawdę były to wielkie piękne rośliny. Ludzie byli ubrani tak jak my. Niczym się nie odróżniali od nas. No oczywiście poza kolorem skóry. To już nie ta Afryka znana nam z dawnych przekazów. Wszędzie nowoczesność miesząca się z prostotą. Asfaltowe drogi nawet nie świeciły się w słońcu, tak jak u nas. Wygląda na to, że tutaj używają prawdziwego asfaltu. Mało tego samochód sunie po asfalcie leciutko, kierowca nie musi omijać dziur, gdyż takich nie ma. Za to wybudowano tutaj niezliczoną ilość spawalniaczy. I to takich konkretnych. Co chwilę trzeba zwolnić by nie uszkodzić samochodu.



*Hotel w Moshi*

Docieramy do Moshi, jednej z większych miejscowości Tanzanii. Według słów liderki jest to szóste miasto w Tanzanii jeśli chodzi o utrzymanie czystości. Nie ma tutaj walających się po rowach śmieci. Przynajmniej przy głównych ulicach. Pojawiają się pierwsze wieżowce oraz ładne, kilkupiętrowe obiekty i budynki, zarówno handlowe jak i mieszkalne.

W końcu docieramy do naszego hotelu. Nie jest źle. Zostajemy rozlokowani w różnych budynkach, wiemy gdzie jest recepcja i stołówka. Obsługa jest bardzo miła.



Chociaż czasami czujemy pewien dyskomfort. Gdy wiemy w którym pokoju będziemy mieszkać pracownicy hotelu biorą nasze wielkie plecaki i wnoszą je na pięterko. Niby normalne ale jak mamy się zachować gdy widzimy, że bagaże targają kobiety. Z jednej strony jest nam głupio z drugiej w końcu to ich praca. Liczą przecież na jakiś napiwek.

Do zmierzchu mamy jeszcze trochę czasu, postanawiamy zatem ruszyć w miasto. Trzeba zobaczyć gdzie jesteśmy. Idziemy z przewodniczką, chociaż to za dużo powiedziane, idziemy z liderką, to też za dużo. Przynajmniej na razie. Nasza liderka zachowuje się dosyć swobodnie. Mamy wrażenie, że ona także przyjechała na wycieczkę a nie do pracy. Nie będę rozwijał tego tematu.

Początkowo ruszyliśmy główną ulicą. Po obu stronach można obejrzeć przygotowane do sprzedaży rośliny. Wcześniej widzieliśmy spore rondo. Ponieważ u nas w Jeleniej Górze ostatnio ciągle powstają nowe ronda, takie malowane farbą na asfalcie, z ciekawością przyglądam się takiemu rozwiązaniu komunikacyjnemu tu w Afryce. Rondo ma dobrze ze sto metrów średnicy. Nie ma problemów z pieszymi gdyż ich ruch jest odpowiednio ukierunkowany. Tylko brać przykład. Na środku ronda wzniesiono pomnik przedstawiający żołnierzy. Miejscowi mówią, że w ten sposób upamiętniono walki o wodę, jakie miały tutaj miejsce. Okazuje się, że początkowo zyski z turystyki szły w całości do sąsiedniej Kenii. Gdy wybrano nowego prezydenta ten okazał się człowiekiem chcącym coś zmienić w swoim kraju. Rozpoczął walkę z wszechobecną korupcją. Dzięki jego postawie znacznie poprawiła się jakość życia przeciętnego mieszkańca. Wprowadził obowiązkowe ale darmowe szkolnictwo, rozwiązał sprawę opieki zdrowotnej. Zrobił także „porządek” z odpływem zysków z obsługi ruchu turystycznego w rejonie Kilimanjaro poza granice kraju. Od tej pory zaczęła rozwijać się branża turystyczna w Tanzanii przynosząca coraz większe zyski. Oczywiście Kenia nie chciała rezygnować z dotychczasowego rozwiązania i wybuchła wojna, w której mocniejszą stroną okazała się armia tanzańska. W sumie teraz jest tak jak powinno być. Dziwnym bowiem było, że zyski z turystyki uprawianej w Tanzanii płynęły do sąsiedniego państwa.

My, korzystając z chwili wolnego czasu, wymieniamy walutę, chociaż tak naprawdę nie wiem po co. Praktycznie wszystko można tutaj kupić za dolary. Oczywiście te jedyne „prawdziwe”. Według nich jedynie słuszną walutą są banknoty z dużymi głowami prezydentów. Innych nie honorują. Kupujemy także stosowne pamiątki. Przede wszystkim kapelusze i koszulki z napisem Kilimanjaro. Niektórzy kupują pamiątki do domu: jakieś obrazy, drobiazgi na prezenty. Mi udaje się wypatrzyć

piękny naszyjnik wykonany z turkusów. To wytwór miejscowej artystki. Jest tak ładny, że gdy go pokazałem, inni także chcieli taki mieć. Jak się okazało był to jedyny okaz. To dobrze bo miał być to prezent dla żony. Postanowiłem, że zabiorę go ze sobą na szczyt. Tak też uczyniłem.



*Pierwsze spojrzenie na Kili*

Powoli zbliżał się koniec pierwszego dnia w Afryce. Wracając do hotelu po raz pierwszy udało nam się zobaczyć Kilimanjaro. Góra była widoczna niemal na wyciągnięcie dłoni. Wiedzieliśmy jednak, że to tylko złudzenie. Po raz pierwszy widzieliśmy biel jej śniegów. Nie powiem, widok ten zrobił na nas spore wrażenie. Nic dziwnego, że przy kolacji długo rozmawialiśmy o czekającej nas wyprawie.

Zanim jednak rozpoczniemy wspinaczkę musimy chociaż trochę spróbować górskiej wędrówki. Dlatego z samego rana pojechaliśmy naszym autobusem do oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów niewielkiej wioski plemienia Chaga. Docelowo czekała nas przyjemna kąpiel pod 100-metrowym wodospadem. Na razie jednak pocimy się w samochodzie. Temperatura powietrza rośnie coraz bardziej.



*Typowa wiejska zabudowa w Tanzanii*

Prowadzący autobusik kierowca doskonale wie gdzie może wjechać a gdzie nie. Droga staje się tak stroma, że mamy obawy czy przejedziemy. W końcu, tak jak było do przewidzenia, kierowca staje, mówiąc że dalej musimy pofatygować się pieszo. Czekając na miejscowego przewodnika rozglądamy się bacznie po wiosce. Położona na stromych zboczach porośniętych bananowcami i kawą, pomiędzy którymi widać pojedyncze domy, sprawia wrażenie wymarłej. Po chwili jednak wiemy dlaczego. Otóż jest poniedziałek, a w tutejszej tradycji, dzień ten jest poświęcony dla miejscowej społeczności. Wszyscy mężczyźni w wieku 17-50 lat w poniedziałki odpracowują czyn społeczny dla swojej wsi. Przede wszystkim naprawiają drogi i chodniki wykonane na zboczach. Każdy bowiem opad wody zmywa ze zbocza to co stanie mu na drodze. Patrzymy jak sprawnie idzie im praca. A przecież mają oni do dyspozycji tylko motyki, łopaty i grabie. Nic więcej nie potrzebują. Najważniejsze, że nikt z pracujących nie narzeka, nie krzywi się czy marudzi. Wszyscy pracują z przyjemnością wiedząc, że ich praca nie pójdzie na marne.

Gdy podjeżdżaliśmy autobusem pod górę widzieliśmy dzieci w mundurkach szkolnych. Wszyscy, zarówno dzieci, jak i odrośli przyjaźnie machali nam na powitanie. Teraz gdy idziemy pieszo często mówią nam jambo (przyjacielu) i



przybijają żółwika. Podążając raz dobrze widocznymi drózkami, raz ledwo widocznymi w zaroślach ścieżkami, przedzierając się przez lasy bananowe, docieramy do położonego na wysokości 1500 metrów n. p. m. wodospadu Materuni. Początkowo nic nie zapowiadało widoku jaki ujrzeliśmy. Najpierw usłyszeliśmy nikły szum a dopiero po chwili wyraźny odgłos spadającej z prawie 100 metrów wody. Z daleka wodospad nie robił takiego wrażenia jak wtedy gdy stanęliśmy tuż pod nim. Gorące powietrze nagle zrobiło się chłodne i bardzo wilgotne. To pył wodny.



*Wodospad Materuni*

Teraz musieliśmy bardzo ostrożnie przejść na drugą stronę strumyka. Kamienie po których stąpaliśmy były tak oślizłe, że niektórzy zastanawiali się czy warto

ryzykować. Niestety pnie drzew zastępujące stoły ustawiono na drugim brzegu więc nie mieliśmy innego wyjścia. Jakoś nam się udało. Teraz czekaliśmy tylko kto pierwszy odważy się zanurzyć w zimnej wodzie. Różnica temperatury powietrza a wody była ogromna. W końcu patrząc na kąpiących się tubylców przełamaliśmy wewnętrzny opór i zostawiwszy plecaki i ubrania weszliśmy do wody. Zanim dotarliśmy do miejsca, w którym można było swobodnie zanurzyć się, musieliśmy bardzo uważać na ostre i bardzo oślizłe kamienie leżące na dnie. Po pierwszym zanurzeniu zimna woda nie sprawiała już na nas tak nieprzyjemnego wrażenia. Zatem podpływaliliśmy coraz bliżej wodospadu by w końcu poczuć jak spadająca z góry woda rozbija się na naszych ramionach. Było bardzo przyjemnie tyle, że w tym miejscu już nie czuć było pod nogami gruntu. W tym momencie „otuchy” dodawał nam napis umieszczony na leżącym pośrodku kamieniu informujący, że kąpiemy się na własną odpowiedzialność.

Pora wyjść z wody i znaleźć miejsce by się przebrać. Gdy już wszyscy jesteśmy susi ruszamy w dół strumienia do stojącego nieopodal szałasu gdzie mamy zjeść śniadanie. Trochę było dla nas zaskoczeniem skąd na tym odludziu wziął się ciepły posiłek. Szybko jednak wyjaśniło się, że jeden z naszych opiekunów niosący wielki kosz na głowie miał w nim przygotowane wcześniej smakołyki. Zrobiło się bardzo przyjemnie. Siedzieliśmy sobie w zacienionym miejscu widząc wodospad, w którym dopiero co się kąpaliśmy i spokojnie poznajemy nowe smaki.



*Rytuał szykowania kawy*



Po takim odpoczynku schodziliśmy ścieżką prowadzącą w dół strumienia tak raźnie jak byśmy dopiero co wyruszyli. Przewodnik co chwilę łapał jakieś małe jaszczurki by pokazać nam je z bliska. Szczerze mówiąc my przechodząc kilkanaście centymetrów obok nich wcale ich nie dostrzegliśmy, tak się zlewały z otoczeniem.

Podczas spaceru dowiedzieliśmy się kilku ciekawych rzeczy. Przewodnik zdradził nam kilka tajemnic. Otóż aby sąsiedzi wiedzieli czy gospodarz jest w domu czy nie wymyślono cały szereg znaków. Nieraz dojdzie do stojącego na uboczu domu jest dosyć odległe. Np. gdy zobaczy się zawiązaną gałąź juki oznacza to, że nie ma nikogo w domu. Gdy juka jest zgięta gospodarz poszedł do domu. Skrzyżowane gałązki oznaczają, że gospodarz ma „wielkiego banana”, czyli że robi piwo bananowe i zaprasza. Trzeba wiedzieć, że przy wytwarzaniu piwa z bananów nie potrzeba używać chmielu. Ale przepis na piwo z bananów mieliśmy poznać nieco później. Tak jak i skosztować takiego piwa.

Na razie idziemy w stronę domków ukrytych pomiędzy drzewami bananowymi. Zdziwienie wywołują dwa ładnie utrzymane groby. Niestety nie bardzo możemy dowiedzieć się kto w nich został pochowany. Jesteśmy w wiosce. Spóźniliśmy się nieco i już zakończono rytualne parzenie kawy. Czego się jednak nie robi dla ciekawskich turystów. Poproszono nas o chwilkę cierpliwości by wszystko przygotować. W międzyczasie wysłuchaliśmy opowieści o kawie, dowiedzieliśmy się jak dba się o plantację kawową. Przyniesiono starą poniemiecką maszynę do łuskania ziaren kawowych. Najpierw bowiem były to tereny zawładnięte przez Niemców. Dopiero później pojawili się tutaj Anglicy. Po obraniu ze skóry nasiona kawy przesypano do drewnianej dzieży i zaczęto tłuc je drewnianym trzonkiem w rytm śpiewów. Cała ekipa ustawiła się w kółko i śpiewając stosowne pieśni wykonywała rytualny taniec. Poproszono nas byśmy po kolei włączali się w ten obrzęd. Gdy ziarna zostały pozbawione łusek przesypano je do metalowej miski i umieszczono nad ogniskiem. Oczywiście w dalszym ciągu trwały śpiewy i tańce. W kocu mogliśmy spróbować jeszcze ciepłych ziaren, które nad ogniem zmieniły swój kolor. Wreszcie były brązowe. Gdy sprawdziliśmy jak smakują znowu zostały one wrzucone do dzieży i ponownie przy tańcach i śpiewach miażdżono je drewnianym tłuczkiem. Później przesiane przez sito zostały wrzucone do kociołka z zimną wodą i umieszczone nad ogniskiem. Co ciekawe to to, że nikt nie mieszał zawartości kotła. Spokojnie zaczekano aż woda się zagotuje i kawa sama się wymiesza. Teraz pozostało już tylko przelać ciepłą kawę do kubków, posłodzić ją cukrem trzcinowym i skosztować. Była wyśmienita. Ponieważ byliśmy mocno spragnieni wypiliśmy ją duszkiem. Co prawda oczy wyszły nam na wierzch ale każdy poprosił o dolewkę.

Mało tego, gdy przynieśli porcje kawy opakowane w torebki wykonane z liści bananowych wszyscy je kupiliśmy wiedząc, że przepłacamy.

Aby umilić nam czas zaproponowano występ pań ze wsi. Nie było to takie nachalne namawianie dlatego z przyjemnością przystaliśmy na to. Zapłaciliśmy stosowną opłatę i czekaliśmy aż panie się przygotują. Ciekawiło nas jak w tak krótkim czasie powiadomiono je, że mają występ. Panie śpiewając kilka piosenek pokazały ciekawy układ choreograficzny. Nas jednak bardziej zaciekał mężczyzna, który przydreptał i zaczął podrygiwać w rytm muzyki. Nie chodziło oczywiście o jakość wykonania przez niego poszczególnych tańców lecz o sam fakt włączenia się do zabawy. Mężczyzna ten wyglądał na bardzo sędziwego. Niestety nasze próby dowiedzenia się ile ma on lat spełżyły na niczym. Nikt we wsi tego nie wiedział.



*Miejskowy zespół folklorystyczny*

Po tak mile spędzonym dniu poprosiliśmy by wreszcie zawieziono nas do mijanego wcześniej baru, w którym podawano piwo bananowe. Każdy chciał spróbować tego specjału. Ponieważ drewniana buda, która uchodziła za stosowny lokal, była zbyt mała by pomieścić nas wszystkich rozsiedlimy się na zewnątrz. Najpierw pani przyniosła nam dwulitrowe donice do kwiatów napełnione po brzegi jakąś brązową dziwnie pachnącą, jeśli można to nazwać zapachem, breją. Na wierzchu pływała piana wyglądająca tak odpychająco, że niektórym trudno było się przemóc by skosztować tego zachwalanego napitku. Faktycznie gdy spróbowałem łyka omal nie padłem z wrażenia. Nie mogłem przełknąć tego niby piwa. Znaleźli się jednak tacy, którzy wypili po pół doniczki mówiąc, że to dobre. My poprosiliśmy coś bardziej

przypominające piwo. Przyniesiono nam wyrób w zakapslowanych butelkach. Wygląd tego trunku był już do przyjęcia. Niemniej bardzo nas ciekawiło dlaczego mimo, iż dzisiaj mamy 29 stycznia 2018 roku to na etykietkach widnieje napis: wyprodukowano w lutym 2018. Nic to. Spróbowaliśmy. Tym razem można było to przetestować.

Degustując tak ciekawe trunki cały czas przyglądaliśmy się górze widocznej na horyzoncie. Wygadała jak cel naszej wyprawy. Kilimanjaro to właściwie masyw górski posiadający trzy wierzchołki. To co tutaj widzieliśmy wcale nie robiło na nas wrażenia. Ot zwykła górka. Będzie dobrze myśleliśmy w tym momencie. Nawet nie przypuszczaliśmy jak szybko zmienimy zdanie. Otóż cały masyw spowity był chmurami. Po chwili postanowiliśmy wznieść toast za powodzenie naszej wyprawy. W momencie gdy upijaliśmy zawartość wspomnianych butelek musieliśmy przechylić głowy do tyłu. I właśnie wtedy dojrzeliliśmy naszą górę. Okazało się, że to co braliśmy za nią to tylko przygrywka. Właściwy szczyt wznosił się kilka pięter wyżej i po prostu wcześniej go nie widzieliśmy. Dopiero teraz zobaczyliśmy ogrom tej góry. Dopiero teraz zdaliśmy sobie sprawę na co się porywamy. Nie było wyjścia. Poprosiliśmy by przyniesiono nam butelkę pędzonego tu bananowego bimbrowa. Postanowiliśmy zaryzykować. Jak szaleć to szaleć. Po delikatnym skosztowaniu tego trunku już wiedziałem, że nie warto więcej próbować miejscowych wynalazków. Od tej pory powiedziałem sobie, że aż do zejścia ze szczytu koniec z alkoholem.

Wieczorem zeszliśmy na wspólną kolację, ostatnią przed wyruszeniem w drogę. Myśleliśmy, że na dzisiaj wystarczy nam bananów. Zaraz okazało się, że to jeszcze nie koniec. Wśród przygotowanych potraw dostrzegliśmy dania z bananów. Były banany w cieście, banany pieczone i na słodko. Nic dziwnego, że niektórzy przełamali się i sięgnęli po przywiezioną z wycieczki butelkę bananowego specjału.

No i wreszcie jest 30 stycznia 2018 roku. Budzę się w dobrym nastroju. Docierają do mnie ostatnie przekazy od żony i znajomych. Jeszcze mam zasięg. Niebawem ma się to zmienić. Wygrzebuję się z łóżka, spod opuszczonej moskitiery. Widzę za oknem piękną słoneczną pogodę. W pokoju panuje lekki chłodek – klimatyzacja działa. Ale to dobrze bo można spokojnie się przygotować do wymarszu. Dzielę bagaże. Widzę czego wzięłem za dużo a o czym zapomniałem. Wciąż myślę jak to będzie.

Zaraz pójdę na ostatnie przed wymarszem śniadanie. Będzie dobrze - myślę. Po śniadaniu zostawiamy zbędne rzeczy zapakowane w worki. Będą czekały na nas w depozycie hotelowym. Wsiadamy do autobusu i jedziemy pod bramę wejściową do Narodowego Parku Kilimanjaro. Są tu wiaty i toalety. No i tłumy ludzi. Takich grup

jak nasza, no może nie tak licznych, jest tutaj kilka, może kilkanaście. Wszyscy czekamy na swoich przewodników i tragarzy. Najpierw jednak idziemy na bramę do biura by wpisać się do księgi. Imię, nazwisko, zawód, wiek, nr paszportu, ilość planowanych dni przebywania w Parku. Zastanawiam się po co im jest potrzebny mój zawód. Co to ma do rzeczy? Liderka pociesza nas, że jeżeli za sześć dni nie zameldujemy się na bramie administrator wyśle grupę poszukiwawczą, która sprawdzi co się z nami dzieje. Jest więc szansa, że jeżeli się zgubimy odnajdą nas.



*Machame Gate – początek naszego podejścia na Kili*

Teraz zapraszają nas na posiłek. Ponoć to stały element wyprawy. Siadamy do wspólnego posiłku, poznajemy właściciela firmy, którego pracownicy będą się nami opiekowali. Nawet nie zauważyliśmy kiedy tragarze zabrali z samochodu nasze główne bagaże. My jeszcze spokojnie jemy drugie śniadanie. Mamy do wyboru danie wegetariańskie oraz mięsne. Większość wybrała kurczaka z warzywami i ryżem. Okazało się jednak, że wśród nas są także wegetarianie. Zobaczymy jak długo pociągną na roślinkach.

### **Dzień pierwszy**

Po posiłku ustawiamy się do wspólnego zdjęcia. Może to ostatnia taka fajna fotka? Na niebie widzimy efekt zwany Halo. Coś niesamowitego. Raptem kilka dni wcześniej widziałem coś podobnego w Karkonoszach.



Wreszcie dowiadujemy się którą podążymy drogą. Do tej pory mówiono nam ciągle, że albo będzie to Machame Route albo Marangu Gate. Niby co za różnica, przecież na szczyt prowadzi kilka dróg. Jak się jednak okazuje, dla nas różnica jest zasadnicza. Otóż na naszej trasie wszystkie noclegi mamy w małych dwuosobowych namiotach. W zasadzie to nic takiego, przecież nieraz spałem w namiocie. Problem w tym, że ostatni raz korzystałem z namiotu ze dwadzieścia lat temu. Przyzwyczailem się już do wygodniejszego sposobu spędzania nocy. Na razie jednak nie myślę o tym. Najważniejsze, że nie muszę osobiście dźwigać na górę namiotów ani mojego głównego bagażu. Tym mają zająć się wynajęci tragarze. W zasadzie osoby nam towarzyszące to obowiązek. Bez wynajęcia określonej liczby ludzi nie wpuszczono by nas do parku. Wiemy, że w naszej grupie przypada trzy osoby obsługi na każdego z nas.



*Nasza grupa w bramie wejściowej do Narodowego Parku Kilimanjaro*

Ruszmy drogą Machame Route popularnie zwaną Whisky. Jest to najdłuższy wariant dojścia na szczyt dający jednak gwarancje najlepszej aklimatyzacji. Na razie widzimy tylko kilku przewodników, którzy szykują się do poprowadzenia nas w drogę. Idziemy pod drugą bramę gdzie stoją umundurowani strażnicy. Każą nam ustawić się gęsiego by nas przeliczyć. Właściciel firmy pokrótce informuje nas o zasadach poruszania się w grupie i jako pierwszy przekracza bramę parku. Za nim



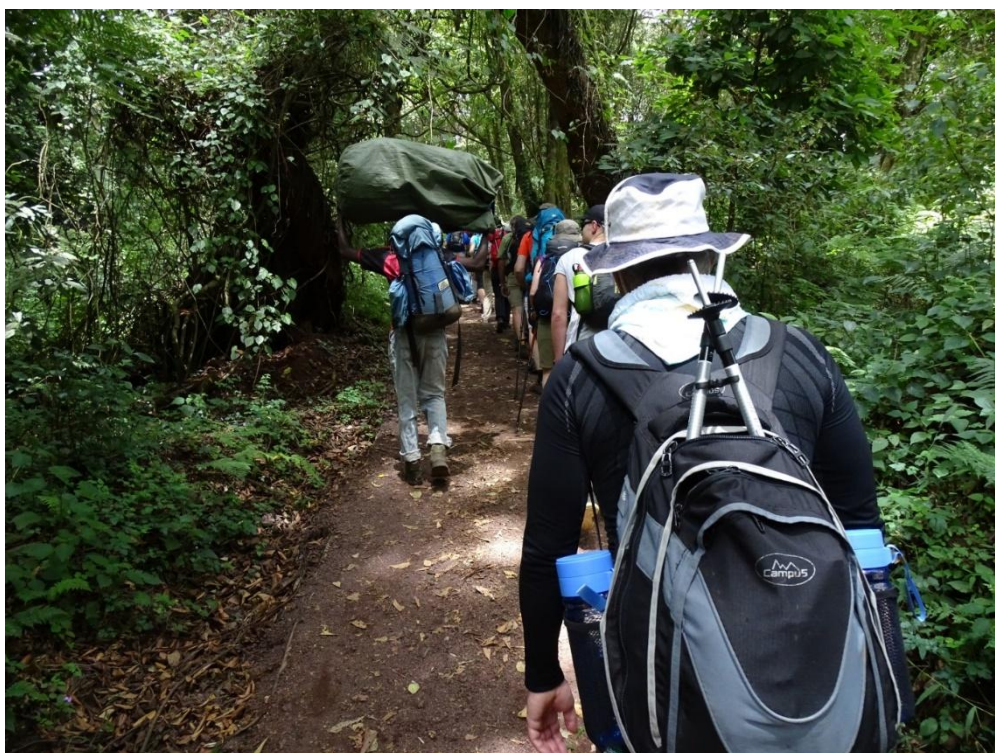
ruszamy my a za nami pojawiają się tragarze z bagażami. Jest też kilka innych osób, jak się wkrótce okazuje - to nasi przewodnicy.

Początkowo droga jak droga, niczym nas nie zadziwia. Powoli pniemy się pod górę. Tragarze szybko ruszają do przodu. Co chwilę zaczynają nas mijać tragarze z innych grup. Początkowo staramy się ustępować im z drogi. Niosą oni przecież tak niesamowicie wielkie wory, że na sam widok robi się nam słabo. Oni jednak zachowują się tak jakby nieśli zwykłe torebki. Nie widać po nich żadnego wysiłku. Mało, śmigają między nami tak szybko, że trudno nadążyć za nimi wzrokiem. Wkrótce przyzwyczajamy się do tego widoku i nie będziemy zwracać na nich uwagi. Na razie jednak widok małego człowieczka niosącego na głowie 30-kilogramową butlę z gazem czy olbrzymie wory z namiotami i krzesłami wprawia nas w osłupienie. Przecież wnoszony przez nich sprzęt to nie leciutkie rurki do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Widać, że to konkretne, solidne wyposażenie jakie potrzebne jest w górskiej bazie.



*Ruszamy na trasę*

Nasz dzisiejszy odcinek trasy to około 14 km oraz konieczność podejścia o 1 km różnicy wzniesień, z 1800 metrów na 2800 metrów n. p. m. Po kilkudziesięciu minutach marszu szeroka droga przemienia się w coraz węższą ścieżkę. Dzisiejszy dzień to przejście przez las deszczowy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego lasu. Olbrzymie drzewa, na których wiszą liany, wyglądają tak jak drzewa rosnące nad Bobrem w Borowym Jarze po przejściu fali powodziowej. Tyle, że tutaj jest prawdziwy gąszcz. Nawet nie widać ani nie słychać żadnych zwierząt. Droga zaczyna więc się pomiędzy drzewami pnać się coraz stromiej pod górę. Co jakiś czas widzimy drewniane domki. To toalety. Kiedy przyszło nam skorzystać z takiego przybytku okazało się, że w środku wszystko wyłożone jest kafelkami. Zupełnie nie spodziewaliśmy się takiego luksusu.



*Przejście przez las deszczowy*

Do wysokości 2100-2200 metrów wszystko idzie dobrze. Jednak w końcu zaczął padać deszcz. Było to jednak do przewidzenia. Wszak to las deszczowy. Nazwa do czegoś zobowiązuje. Ubieramy kurtki przeciwdeszczowe. Oczywiście po chwili robi nam się mokro od środka. Okazuje się, że mające oddychać kurtki wcale takie nie są. Na szczęście po podejściu kolejnych 200 metrów wysokości deszcz ustaje i możemy się przebrać. Podążamy dalej. Roślinność jest coraz gęstsza. Droga zwęża

się do metrowej ścieżki ograniczonej drewnianymi belkami mającymi zastępować krawężniki. Coraz częściej pojawiają się odcinki, na których zbudowano schody. No może coś w rodzaju schodów.

Gdy osiągamy wysokość 2600 metrów zaczynamy odczuwać duszności. Jest coraz ciężiej. Na szczęście robimy postój i możemy nieco odsapnąć. Jest lepiej. Powolutku docieramy do pierwszej bazy. Widzimy głębokie doły pod szykowane nowe toalety. Nieco dalej widać spory murowany budynek. To dotychczas używane toalety. Nie jest źle.

Tragarze rozbijają namioty, wkładają do nich materace i nasze bazowe plecaki. Okazuje się, że już wiedzą kto z kim nocuje i do kogo należą konkretne plecaki. Nie musimy niczego szukać, wszystko jest na swoim miejscu. Aż dziw, że tak sprawnie im poszło. Kucharze zaczynają szykować jedzonko. Zobaczymy co nam przygotują. Po chwili pojawiają się miski z ciepłą wodą do mycia. Co prawda wody jest niewiele ale wystarcza jej dla wszystkich. Na razie jeszcze nie „pachniemy” zbyt intensywnie, nie ma potrzeby dokładnego mycia. Wystarczy delikatne opluskanie. Pogoda jest super. Nie pada i nie czuć chłodu. Wszystkim dopisują humory. Jest dobrze. Dociera do nas, że właśnie dotarliśmy wyżej niż liczy najwyższy punkt w Polsce.

Zaraz kolacja. Przygotowano dla nas dwa wielkie namioty, w których mamy stoły i krzesła. To prawdziwa stołówka. Kolację podają nam na prawdziwych talerzach. Dostajemy metalowe sztućce a nawet serwetki. Posiłek jest ciepły i bardzo smaczny. Jesteśmy mile zaskoczeni. Do bazy docierają kolejne grupy. Robi się tłoczno. Zaczynają się śpiewy i nocne rozmowy. Wokół polany, na której rozbito namioty, rosną drzewa i gęste krzaki. Na gałęziach dostrzegamy niewielkie ptaszki. Początkowo wydawało się nam, że góra nad nami to Kili. Jednak całą pokrywa gęsty las więc to nie ona.

W nocy nieco się ochłodziło. Musiałem założyć jeszcze coś na siebie. Ubrałem także czapkę do snu. Wilgoć zrobiła się tak duża, że woda kapła z sufitu namiotu. Ranek przywitał nas lekkim chłodem, jednak podana przez obsługę ciepła herbata z imbirem zaraz postawiła nas na nogi. Gdy wyszliśmy z namiotów patrzymy a nad nami olbrzymia góra cała pokryta śniegiem. To Kilimanjaro. Nareszcie mamy ją przed sobą. Super, że nie robi już na nas takiego wrażenia jak za pierwszym razem.

Jesteśmy





*Pierwszy nocleg*



*Baza machame Camp – 2835 metrów n.p.m.*

na wysokości 2835 metrów w bazie Machame Camp czyli ruszając wczoraj z Bramy Machame Gate położonej na wysokości 1800 metrów weszliśmy prawie kilometr

wyżej. Teraz poranna toaleta, śniadanie, pakowanie plecaków i ruszamy w drogę. Obsługa zostaje by zwinąć bazę i przenieść ją w nowe miejsce.

### Dzień drugi



*Zaczynają się „schody”*

Po wyjściu widzimy, że droga jest znacznie stromsza niż wczoraj. Ale to tylko kawałek. Zaraz wchodzimy na grzbiet i podążamy ścieżką prowadzącą po nim. Niebawem wszystko się zmienia. Co chwilę musimy wspinać się po skałach. Czasami jest naprawdę ciężko. Docieramy do miejsca, w którym trzeba odłożyć kije. Najgorsze, że dotychczasowe widoki zasłania nam mgła. Po chwili zaczyna padać deszcz. Dowiadujemy się, że mamy wejść na wysokość 3750 metrów. Dzisiejszy odcinek to około 9 kilometrów. Jakoś docieramy do bazy Shira Lave Camp. Jest już tutaj co najmniej 10 ekip. Widać sporo namiotów. Toaleta jak zwykle porządna. W budynku jest do wyboru sześć toalet. Trzy męskie i trzy damskie. Są toalety europejskie oraz z dziurą, takie „na Małysza”. Idziemy do stołówki. Okazuje się, że przygotowano nam tak dużo jedzenia, że nie jesteśmy w stanie go przejeść. Posiłki serwowane to za każdym razem zupa i drugie danie. Do tego przekąski, czasami jakiś deser. Wydaje mi się, że przesadzają. Jak tak dalej pójdzie to zamiast schudnąć przytyję tutaj. Zauważyłem, że miejscowi bardzo szanują jedzenie. Nie marnują go.



Najpierw karmią nas, następnie zjadają to co zostawiliśmy. Jeśli jest za mało dorabiają coś więcej. Patrząc na to też zaczynamy inaczej podchodzić do spożywanego posiłków. Nie żeby sobie odmawiać ale nie przesadzamy i staramy się szybciej oddawać gary z zupą tak by była ona jeszcze ciepła.



*Pogaduszki z właścicielem firmy, która opiekuje się nami podczas wyprawy*

Ponieważ mamy jeszcze trochę czasu do zachodu słońca idziemy na spacer. Niestety znowu zaczyna padać deszcz. Właściwie jest to ulewa. Idziemy w stronę widocznej na horyzoncie góry. To tam znajdują się interesujące nas jaskinie. Obok ustawiono tablice informujące by turyści nie nocowali w tych miejscach gdyż w nocy temperatura potrafi tak się obniżyć, że można zamarznąć. Wchodzimy na grzbiet. Widoki stąd są bardzo ładne, jednak nie widać naszej Kili. Widzimy za to sąsiedni szczyt. To Mawenzi. Poniżej naszej góry zbudowano a właściwie wytyczono lądowisko dla helikopterów. W tym miejscu jest przynajmniej jakiś zasięg. Normalnie telefony nie działają. Chociaż jak zauważyłem telefony używane przez naszych przewodników działają. Ciekawe jaką oni mają sieć?

Tymczasem w obozie niektóre ekipy bawią się na całego. Słychać śpiewy i widać tańczących. Jest bardzo wesoło. My szykujemy się na jutro. Oglądamy zachód słońca a później naszą Kili oświetloną księżycem. Wiemy już, że jutro będzie ciężko.

Mamy podejść z 3750 na 4500 i zejść na 3900. Trasa niezbyt stroma ale bardzo długa.

Dzisiaj kilka osób uskarżało się na złe samopoczucie oraz bóle głowy. Mnie czasami zatykało oddech. Zobaczmy co przyniesie nam dzień jutrzejszy?

Po drodze spotykaliśmy fajne myszy. Takie kolorowe. Do tego ptaki i wiele pięknych kwiatów. Były drzewa popularnie nazywane kalafiorami.



*Pierwszy mieszkaniec jakiego spotykamy*



*Robi się coraz bardziej stromo*

W nocy zrobiło się bardzo zimno. Założyłem na siebie wszystko co miałem ale chłód i tak był niesamowity. Fala zimna przetaczała się przez całe ciało. Myślałem, że zamrznę. Do tego skurcze w nogach. Na szczęście miałem specjalną maść. Pytanie tylko jak ją użyć. Z jednej strony skurcze były tak dokuczliwe, że bez maści nie dałbym rady zasnąć, z drugiej strony jeśli się rozbioreę by posmarować nogi nie wytrzymam zimna. W końcu jakoś dałem radę. Nasmarowałem nogi, skurcze ustały. Teraz trzeba było zapanować nad zimnem. W sumie nie miałem już nic czym mógłbym się przykryć. Było bardzo poważnie. Pomyślałem wtedy o najbliższej mi osobie, o mojej ukochanej. I o dziwo to pomogło. Zimno powoli zaczęło ustępować.



*Baza Shira Cave Camp – 3750 metrów n. p. m.*

Ponieważ księżyc był w pełni, świecił tak jasno, że całą noc widać było Kilimanjaro. Pojawiła się także Mawenzi. Co prawda wyglądała jak za mgłą ale była dostatecznie widoczna. Niebo było tak upstrzone gwiazdami, że dech zapierało gdy się na nie patrzyło. Rano okazało się, że w nocy był przymrozek. Wszystko było zamrożnięte. Zarówno ziemia jak i nieliczne roślinki były bielusieńkie. Słychać było tylko jak rozsuwały się zamki od namiotów i trzeszczenie butów na zmrożonej ziemi.



### Dzień trzeci

Najważniejsze teraz było udać się na śniadanie by napić się ciepłej herbaty. Kucharz chyba też zmarł bo dostaliśmy gorącą zupę dyniową i pyszne naleśniki. Tak się objadłem, że postanowiłem, iż zacznę ograniczać ilość spożywanych posiłków bo w końcu urośnie mi brzuch. Trzy posiłki dziennie, dwudaniowe, deser i przekąski. To stanowczo za dużo. Trzeba tylko pić, dużo pić.

Nie wiadomo jak ubrać się na drogę. Rano zimno – zakładam kurtkę, koszulkę, bieliznę termo aktywną. Za chwilę słońce przypieka tak, że trzeba wszystko zdjąć i użyć filtra 30. Idziemy wciąż pod górę. Baza się opróżnia. Wszędzie w trawie igły zamrożonej wody czy mgły.



*Na horyzoncie widać Mawenzi – jeden z wulkanicznych stożków Kilimanjaro*





*Nocleg z widokiem na Kili*



*W tle Kili a my przekraczamy wysokość 4 tysięcy metrów*

Pokonaliśmy wysokość 4 tysiące metrów, jest napis na kamieniu. Idzie się coraz ciężej. Każde następne 100 metrów w górę wydaje się nieskończonością. Krótka przerwa. Idę za skałę by zrobić siusiu a tu taki widok na Kili. Aż wstyd się przyznać,

że „olewam” go. Idziemy dalej. Mija nas coraz więcej tragarzy, mijają nas także inne grupy. Wyraźnie widać, że tracimy siły. W końcu robimy drugi postój. Jesteśmy na wysokości 4300. Pozostało tylko 300 metrów do przełęczy. Ale to 200 metrów w pionie, tak naprawdę to będzie około 1,5 do 2 godzin marszu.



*Baza Lava Tower Camp – 4600 metrów n. p. m.*



*Zejscie z przełęczy 4600, na której przygotowano nam obiad*





*Pojawiają się ciekawe drzewka*

Wreszcie docieramy na przełęcz. To Lova Tower Camp (4600 metrów n. p. m.). Było bardzo ciężko. Trudny podmokły teren, strumyk i dolinka. Teraz dotrzeć do toalety i odszukać nasz namiot, w którym czeka na nas ciepły posiłek. Nie wiemy jak nasi tragarze dali radę nas wyprzedzić i zdążyć przygotować posiłek. Jemy ciepłą zupę i odpuszczamy sobie resztę. Nic więcej nie chce przejść mi przez gardło. Piję tylko dużo ciepłej herbaty. Przed nami bardzo trudne zejście. Trzeba rozważnie stawiać nogi by nie ześliznąć się i nie stoczyć na dół. Tym bardziej, że drogą którą podążamy płynie jakiś strumyk. Jesteśmy tak zmęczeni, że idziemy resztkami sił. Aby do przodu, a właściwie aby na dół. W końcu, nie wiem kiedy, docieramy do bazy. To Baranco Camp na wysokości 3900 metrów. Znowu mamy namioty rozbite daleko od toalet. Teraz, jeśli dam radę coś przełknąć kolacja i spać. Ale najpierw jeszcze trzeba odwiedzić toaletę. Robi się całkiem ciemno. Bez latarki nic nie widać. W sumie to muszę przyznać, że trochę zbłądziłem. Nie trafiłem tam gdzie chciałem dotrzeć. Nagle stwierdziłem, że jestem w jakimś dziwnym terenie. Okazało się, że przeszedłem bokiem całą bazę i wyszedłem na szlak, którym tutaj przybyliśmy. Na szczęście szybko dotarłem z powrotem do namiotu i jeszcze szybciej zasnąłem.

## Dzień czwarty



*Baza Baranco Camp – 3900 metrów n. p. m.*

Pobudkę zarządzono na 5.30 rano. W nocy okazało się, iż mimo, że wieczór był ciepły, zrobiło się bardzo zimno. No może nie tak jak wczoraj. Rano ziemia była zamrznięta. Tym razem nauczony doświadczeniem zabrałem oprócz wody w camelbaku ciepłą herbatę do termosu. Gdy czekałem aż pozostali uczestnicy wyprawy spakują się patrzyłem na sąsiednie zbocze po którym wspinają się jakieś malutkie ludziki. Pomyślałem wtedy sobie: ktoś ich tam wpędził, przecież to bardzo niebezpieczna ściana. Miałem nadzieję, że my pójdziemy jakąś mniej stromą drogą. Szybko okazało się jak bardzo się myliłem. Przewodnicy poprowadzili nas prosto na obserwowane przeze mnie zbocze. Najpierw przeskoczyliśmy strumyk. Później dotarliśmy pod niemal pionową ścianę. Kazano nam tutaj schować kijki aby nie przeszkadzały w podchodzeniu. Ścieżka staje się coraz bardziej stroma, coraz mniej bezpieczna. Coraz częściej musimy podciągać się na rękach. Co ciekawe to tragarze cały czas śmigają między nami jak antylopy. Chociaż w kilku miejscach i oni musieli przeciągać worki po zboczu. Wciąż wspinamy się po skałach. Czasami jedni pomagają drugim. Są momenty kiedy trzeba kogoś podsadzić, kiedy trzeba kogoś ciągnąć na górę. Aż dziw, że nikt nie spanikował. W sumie to dopiero teraz, kiedy



siedzę w fotelu w domowym zaciszu i oglądam zdjęcia widzę jak stroma to była ściana. Miejskami nachylenie dochodziło do 70 %. Myślę, że gdyby wtedy ktoś z nas obrócił się by spojrzeć za siebie to pewnie ze strachu spadłby w przepaść. Pewnie dlatego nasi przewodnicy tak bacznie nas obserwowali i ciągle nam pomagali.

W końcu dotarliśmy na 4200 metrów do miejsca, w którym zaplanowano odpoczynek. Nie muszę mówić jak bardzo była potrzebna nam ta przerwa. Nie dalibyśmy rady iść dalej. Trzeba było napić się ciepłej herbaty i coś przegryźć.

Teraz ruszyliśmy stromą ścieżką w dolinę by po chwili ponownie wspinać się na kolejny grzbiet. Jest ciężko. Kolejne zejście w dół i dla odmiany dziesiątkami gzygzaków przez skały docieramy do bazy położonej na wysokości 3995 metrów. Jesteśmy w Karanga Camp. Bardzo ucieszył nas widok przygotowanego namiociku kuchennego. Odpoczywamy i spokojnie czekamy na posiłek. Na nic więcej nie mamy już sił ani ochoty. Tylko przekąska i spać.

### **Dzień piąty**



*Ostatnie chwile spokoju przed atakiem szczytowym*

No i stało się to czego obawialiśmy się najbardziej. Od samego początku mówiono o ataku szczytowym, że to będzie prawdziwe wyzwanie, że dopiero wtedy zobaczymy co to znaczy chcieć pokonać górę. Do tej pory nasze zmagania były „zwykłym”

spacerem. Teraz przed nami wejście na szczyt i szybka ewakuacja na dół poniżej 4 tysięcy metrów. Przed nami dobrze ponad 20 km i niemal 4000 metrów różnicy poziomów. Mam nadzieję, że damy radę. Nie mniej wciąż myślę: a co jak ja czy ktoś z ekipy zasłabnie, czy wtedy cofną całą grupę. Przecież to byłoby nie w porządku. Liderka uspokaja nas mówiąc, że tak nie będzie. Zarówno ona jak i przewodnicy mówią, że damy radę, żebyśmy nie martwili się na zapas. Jednak dodają, że gdybyśmy poczuli się źle to mamy od razu im o tym meldować. Więc z jednej strony niby wszystko będzie w porządku, a z drugiej może coś być nie tak. Przecież gdyby to nie była poważna sprawa nie zachowywali by się tak dziwnie.



*Wchodzimy w ścianę*

Do tej pory nie docierało do nas, że wejście na Kili to nie zwykła przechadzka po górach. Nawet te pierwsze dni, mimo że było coraz ciężiej, nie przerażały nas specjalnie. Dopiero teraz, kiedy nasi opiekunowie zaczęli bacznie nam się przyglądać, zaczęło docierać do nas, że będzie ciężko. W sumie to nigdy w życiu nie wspinałem się na taką górę. Mam nadzieję, że dam radę. W końcu po to tutaj przyjechałem. Oczywiście nie mogę swojego pragnienia realizować za wszelką cenę. Przecież w takim wypadku narażałbym życie nie tylko swoje ale także osób odpowiedzialnych za mnie.

Od tej pory przewodnicy opiekujący się nami byli bardziej widoczni. Jak do tej pory, poza prowadzącymi, nie dostrzegaliśmy innych, tak teraz czuliśmy ich obecność i kiedy byśmy nie spojrzeli za siebie oni byli na wyciągnięcie ręki.

Przedstawiono nam plan ataku szczytowego. Trochę nas to przeraziło ale, pomyśleliśmy sobie, że przecież inni muszą zmagać się z tymi samymi przeciwnościami co my. A przecież widzieliśmy już schodzące grupy, których uczestnicy radowali się z sukcesu.

### **Droga na szczyt**

Najpierw czeka nas wyczerpująca droga od samego ranka z bazy Karanga Camp położonej na wysokości 3995 metrów n. p. m. do bazy Barafu Camp na 4673, później kilka godzin odpoczynku i atak szczytowy, na który mamy ruszyć godzinę przed północą.

Gdy po całym dniu marszu dotarliśmy do bazy Barafu Camp położonej na wysokości ponad 4600 poproszono nas byśmy odświeżyli się i w miarę szybko przyszedł do namiotu gdzie będzie czekał na nas posiłek. Byliśmy tak zmęczeni, że mało kto chciał tracić czas na toaletę. W namiocie było jakoś inaczej niż do tej pory. Było nieco skromniej. W zasadzie to mało kto chciał jeszcze się objadać. Dostaliśmy suchy prowiant na drogę, bo jak się okazało od tej pory aż do zejścia ze szczytu musi nam wystarczyć to co mamy w naszych plecakach. Dostaliśmy jakieś ciasteczka, soczki, wodę (wyżej nie ma już źródeł – to jest ostatnie miejsce, gdzie można było zaczerpnąć wody pitnej) i kazano nam położyć się spać. Dziwne – przecież jest dopiero późne popołudnie. Niemniej grzecznie idziemy do namiotów i staramy się zmrużyć oko. Nie dało się. Raz, że jesteśmy podekscytowani mającym nastąpić atakiem, dwa jesteśmy zmęczeni po całodziennym przejściu. Tym bardziej, że dzisiejsza trasa była znacznie bardziej wymagająca niż w dniach poprzednich. Była jeszcze jedna przyczyna przez którą nie mogliśmy zasnąć. Otóż gdy tylko zasunęliśmy zamki w namiotach usłyszeliśmy dziwne odgłosy. Najpierw takie niby świsty, później coś w rodzaju wycia. To wiatr zaczął pokazywać na co go stać. Jego poddmuchy stawały się coraz mocniejsze i coraz głośniejsze. W końcu rozszalało się piekło. Wiatr wył tak, że trudno było znieść jego odgłos. Wyraźnie słychać było jak rzuca o ścianki namiotu padający deszcz. Zresztą namiot chodził tak jakby za chwilę miał odfrunąć. Zrobiło się bardzo zimno. Znowu sięgnęliśmy do plecaków by włożyć na siebie coś cieplejszego. O śnie nie było już mowy. Ba, zaczęliśmy zastanawiać się



czy to przypadkiem nie koniec naszych marzeń o wejściu na szczyt. Przecież przy takiej pogodzie nie da się iść.



*To już nie przelewki* Czas przeznaczony na odpoczynek dłużył nam się w nieskończoność. Szybko doszliśmy do wniosku, że nasi opiekunowie odpuścili i po prostu pozwolą nam przespać całą noc by rano ruszyć w dół. Jednak wkrótce ktoś



zaczął dobijać się do namiotu. Gdy podnieśliśmy klapę ze zdziwieniem ujrzeliśmy przewodnika, który kazał nam ubierać się i szybko przyjść do bazy. Po chwili zjawiała się nasza liderka i kazała zakładać na siebie wszystko co mamy mówiąc, że za chwilę ruszamy na szczyt.

Jakież było nasze zdziwienie tą sytuacją. Z jednej strony pełne zaskoczenie, że przy tak niesprzyjających warunkach pogodowych jednak ruszamy, z drugiej radości, że podejmiemy próbę zdobycia Kili. W pośpiechu ubieraliśmy się na tzw. cebulkę. Nie było to łatwe w pozycji leżącej w targanym wiatrem namiocie. Pomyślałem sobie, że faktycznie warto dobrze się ubrać, wszak zawsze mogę zdjąć zbędne odzienie i albo wsadzić je do plecaka albo po prostu zostawi gdzieś po drodze. Założyłem na siebie czystą bieliznę i świeże skarpety. Oczywiście dwie pary. Na to wciągnąłem bieliznę termo aktywna, zarówno górę jak i dół. Po krótkim namyśle założyłem drugi komplet bielizny termo aktywnej. A co mi tam. Dodatkowo ubrałem koszulkę z długim rękawem. Wskoczyłem w lekkie spodnie na które założyłem drugie wykonane z grubego materiału. Założyłem także polar, na który ubrałem, specjalnie w tym celu zabraną, koszulkę z napisem Jelenia Góra w Karkonoszach, tą samą którą miałem na sobie podczas zeszłorocznej wyprawy w Himalaje. Tam dotarłem w niej na przełęcz Kardung La położoną na wysokości 5600 metrów n.p.m., tutaj miałem szansę pobić ten rekord. Poza tym Kilimanjaro wchodzi w skład Korony Ziemi. Jeżeli uda mi się wejść na szczyt będzie to pierwsza góra korony w moim życiu. Słyszałem jak niektórzy mówią, że jest to perełka Korony Ziemi.





*Baza Barafu Camp – 4673 metry n. p. m.*

Teraz założyłem puchową kurtkę i na wierzch drugą przeciwwiatrową. Na szyję włożyłem specjalną opaskę i dodatkowo zabrałem kominiarkę. Głowę chroniła gruba czapka i kaptury. Było dobrze gdyż praktycznie każda z kurtek posiadała kaptur, mogłem zatem w miarę potrzeby zakładać tyle kapturów ile było potrzeba. Oczywiście wszystko uzupełniały dwie pary rękawic, jedne cieńsze, drugie grube, narciarskie.

Jeśli chodzi o plecak to starałem się nie brać nic zbędnego. Przede wszystkim zabrałem napełniony po brzegi źródłana wodą camelbak, do tego termos z ciepłą herbatą, kilka specjalnych odżywek i energetycznych batonów. Uzupełnieniem wyposażenia była czołówka i kijki. Co prawda do tej pory nigdy nie chodziłem z kijkami. Dopiero tutaj w Tanzanii użyłem je po raz pierwszy. Nawet nie przypuszczałem jak bardzo mi się one przydadzą dzisiejszej nocy. Teraz mogę powiedzieć, że nieraz uratowały mi życie.

Gdy byliśmy gotowi zebrano nas w grupę, dokładnie przeliczono i ustawiono gęsiego. Pomiędzy nas weszli przewodnicy. Było ich znacznie więcej niż dotychczas. Byli także ich pomocnicy. Pozostała ekipa miała czekać na nasz powrót utrzymując bazę. Przed wyjściem powiedziano nam, że żarty się skończyły i że absolutnie mamy

pilnować się grupy, nie odchodzić na boki bez zgłoszenia najbliższemu opiekunowi. Mamy iść jeszcze wolniej niż dotychczas, gęsiego, nie wolno nam się przepychać i wyprzedzać bez potrzeby. Gdy poczujemy, że jest nam słabo natychmiast mamy stawać i informować o tym. Mimo złej pogody te polecenia wydawały nam się lekko przesadzone. Niebawem mieliśmy się przekonać, że tak nie jest.



*Zaczyna doganiać nas mgła*

Powoli podniecenie zaczęło brać w nas górę nad strachem przed pogodą i obawą o to czy damy radę wejść na szczyt. Ruszamy. Minęła 23, jest ciemno. Widać tylko gwiazdy na niebie i jakąś niekształtną czarną plamę w górze przed nami. Po całym obozie przemieszczają się jakieś światełka. To światła z czołówek pozostałych grup. Przecież nie jesteśmy sami. Do bazy przybyło kilkanaście grup. I wszyscy chcą dzisiejszej nocy wejść na szczyt.

Zastanawialiśmy się tylko dlaczego atak szczytowy rozpoczynamy przed północą, w zupełnych ciemnościach. Teraz tego nie wiedzieliśmy ale po osiągnięciu rankiem celu i spojrzeniu w dół dotarło do nas, że gdyby atak na szczyt rozpoczynał się w dzień to do celu nie dotarłoby połowa ludzi. Sam widok, zarówno stromego podejścia pod górę, jak i przepaści za nami sprawiłby, że co drugi z nas zrezygnowałby z dalszej drogi. Ba może nawet doprowadziłoby to do niepotrzebnej paniki. A tak, nie widząc czyhających niebezpieczeństw spokojnie sobie podążaliśmy ku założonemu celowi. Na górze zaś byliśmy już tak zmęczeni, że było nam wszystko jedno.

W końcu ruszamy. Idziemy powolutku klucząc pomiędzy skałami. Początkowo rozgadamy się z ciekawością, jednak szybko dociera do nas, że to nie ma najmniejszego sensu. I tak nic nie wypatrzymy w tych ciemnościach. Poza tym trzeba uważać bo źle postawiona noga groziła zwichnięciem albo osunięciem się w dół na idącego niżej. Ani jedna ani druga sytuacja nie była pożądana. Zatem patrzeliśmy na oświetlone światłem z naszych czołówek stopy osoby idącej przed nami.

Właśnie dociera do nas, że to już przestaje być zabawa. Zaczyna się prawdziwa górską wspinaczka. Każdy ma teraz tylko jedną myśl, jedno pragnienie. Aby dojść. Dojść tam, hen na szczyt. Nie jest to jednak takie oczywiste. Wszak to góra niezwykła. Góra, z którą wielu przegrywa. Tu nie wystarczy silna wola, odwaga i kondycja. Tu nie ma znaczenia czy jesteś młody i w sile wieku czy starszy. Tu nic nie ma znaczenia. Wszyscy są równi! I wszystko zależy od ciebie samego!

Wiadomo każdy kto tu przyjechał chce spełnić swoje marzenie. Jednak wysokość i dystans robią swoje. Najpierw odczuwasz zmęczenie typowe dla wysokogórskich wycieczek. Gdy już jesteś osłabiony dotyka cię wysokość. Ciśnienie, rozrzedzone powietrze. To nie przelewki. Przeważnie boli głowa ale ten ból to nie taki normalny ból, to ból który powoli rośnie by dojść do momentu kiedy wydaje ci się, że rozrywa ci czaszkę. Wtedy myślisz tylko o jednym, by jak najszybciej odszedł od ciebie. By to wszystko skończyło się natychmiast. Nie jest to jednak ani takie proste ani łatwe. Ból sam nie ustąpi. Najpierw trzeba zejść niżej, znacznie niżej. A tu wszyscy prą do przodu. Wspinamy się po bardzo stromym zboczu usłanym kamieniami gdzie każdy nieostrożny ruch grozi nawet śmiercią. Nic nie jest tu ani proste ani oczywiste. W zasadzie nie ma człowieka, któremu nic nie dolega. Każdy cierpi, mniej czy więcej.

Powoli zaczyna poprawiać się pogoda, wiatr jakby trochę zelżał. Chociaż wciąż czujemy jak, mimo tylu warstw odzieży, przenika nas na wskroś. Idziemy powolutku, bardzo powoli, i wcale nie wynika to z naszych chęci, po prostu inaczej się nie da. Raz, że zarówno przed każdym z nas jak i za każdym idzie następna osoba, dwa zmęczenie robi swoje. Największy jednak wpływ na tempo naszego marszu ma rozrzedzone powietrze. Gdy musimy wdrapywać się po stromych skałach wkładany w to wysiłek powoduje chęć zaczerpnięcia powietrza, a tu niespodzianka, mimo że wciągamy je głęboko wcale nie czujemy by do płuc coś dotarło. Robimy głębszy wdech, a tu znowu nic. Wpadamy w panikę, zaczynamy oddychać jak ryba wyrzucona z wody. Dopiero teraz widzimy co to znaczy wysokość. Gdy wreszcie poczuujemy, że do płuc coś dotarło, uspokajamy się i przez kilka minut staramy się przywrócić normalny oddech. Nasi przewodnicy widząc



takie sytuacje przystają i mówią: oddychaj spokojnie, nie denerwuj się, nic ci nie będzie. Mimo tych uspokojień widzę, że bacznie obserwują każdego z nas. Widzę jak się przetasowują by być jak najbliższej osób uznanych przez nich za potrzebujących wsparcia.

Prowadzący nas zaczyna kluczyć pomiędzy skałami tak, że nie mieszamy się z innymi grupami. Gdy zarządza pierwszą przerwę padamy jak byśmy przeszli nie wiadomo jaką trasę. Po prostu jesteśmy wykończeni. A to przecież dopiero początek naszej drogi. Dopiero minęła północ. Przed nami jeszcze około ośmiu godzin marszu. Co prawda cała dzisiejsza trasa to tylko kilka kilometrów ale za to trzeba podejść z wysokości 4600 na prawie 5900 a później jeszcze wrócić z powrotem do bazy. Na tej wysokości jest to ciężka sprawa.

Chociaż, jak sobie pomyślałem, że niektórzy z naszych przewodników byli na Kili po kilkadziesiąt razy (rekordzista 250 razy) to od razu uznałem, że ten jeden raz dam radę. Dalsza wędrówka przebiegała coraz wolniej. Zaczynały się tworzyć mniejsze grupki. Ci idący z przodu pozostawali z tyłu, ci ostatni parli do przodu. Okazało się, że większość osób cierpi z powodu wysokości i nasza liderka rozdaje im tabletki mające uspokoić ich organizmy. Mnie na szczęście nie boli głowa. Czuję się dziwnie. Tak jak większość idę spokojnie, chociaż coraz wolniej. Właśnie teraz dociera do mnie jak to dobrze, że dałem się przekonać do zabrania kijków. Nogi mam jak z waty, czuję się jakbym był pijany, nie panuję nad ruchami nóg. Gdy chcę je przesuwać do przodu one idą gdzieś na boki, czasami nawet do tyłu. Jedynie kije pozwalają mi utrzymać się w pozycji stojanej. Już nie mam chęci podziwiać gwiazd na niebie. Nie interesuje mnie gdzie są pozostali. Próbuję tylko iść przed siebie, byle piąć się w górę. Prawdziwym wyzwaniem stają się miejsca, w których ze względu na stromość ściany trzeba odłożyć kije i wspinać się wczepiając rękoma w skały. Coraz częściej przystaję by odpocząć. Najlepiej na siedząco, chociaż po kilku razach wiem, że uniesienie tyłka i wstanie będzie bardzo trudne. Niestety gdy siadamy wiejący wiatr daje znać o sobie ze wzmoczoną siłą. Czujemy jakbyśmy mieli zaraz zamarznąć.

Przewodnicy co chwilę przypominają o picciu wody. Niedużo ale chociaż po łyczku. Ma to pomagać. Trzeba jednak pamiętać by po pobraniu łyka wody wdmuchnąć do rurki powietrze bo inaczej gdy będziesz chciał ponownie napić się wody może okazać się, że ona zamrzła. Zresztą cała elektronika nie schowana do plecaków wysiada w błyskawicznym tempie. Mróz może nie jest przerażający ale wiatr tak potęguje jego odczuwalność, że nie ma żartów. Mimo wielu warstw ubrań jest nam bardzo zimno.

W takich momentach myśli się tylko o jednym, by przeżyć. Nie interesuje cię nic, nie robisz zdjęć, powoli wpadasz w taką apatię, że nie zwracasz już uwagi na to co robią twoi sąsiedzi w kolumnie. Przecież oni również ledwie zipią. Oni także myślą tylko o jednym, o tym jak przetrwać. Na szczęście, jak już wspominałem, w kolumnie idą co jakiś czas miejscowi przewodnicy. I tylko ich doświadczeniu i życzliwości idący na Kili zawdzięczają swój sukces, a często i życie. Tylko oni potrafią ocenić twój stan zdrowia. Tylko oni wiedzą czy dojdiesz na górę, czy nie. To właśnie oni podejmują decyzję czy nie pora zawrócić. I często tylko oni potrafią przekonać cię do odwrotu. Sam bowiem uparcie, wbrew zdrowemu rozsądkowi, będziesz szedł dalej. To także oni, gdy zajdzie taka potrzeba, wezmą cię pod pachę i sprowadzą na dół w bezpieczne miejsce. Oni też, widząc twoje zniechęcenie i osłabienie, potrafią ocenić twoje siły i mimo twojej chęci odwrotu przekonają cię do kontynuowania marszu na szczyt. Jeśli trzeba zagadają cię, podadzą ci kubek ciepłej herbaty niesionej przez nich w plecaku. Okazuje się, że łyk ciepłej herbaty potrafi być skutecznym lekiem na wszystko. Jeden łyk a wszystko staje się dla ciebie lepsze, zaczynasz myśleć pozytywnie, wracają ci siły i chęci by nie poddawać się. Przewodnicy często, wbrew twoim oporom, zdejmują ci z ramion plecak. Ty oczywiście wzbranasz się przed taką troskliwością bo przecież to tylko kilka kilogramów. Jednak na tej wysokości taki ciężar często jest ponad granice twoich możliwości. I często ten drobny gest powoduje, że dostajesz nowych sił i przezwyciężasz kryzys.

W zasadzie każdy z uczestników wyprawy miał przydzieloną osobę, która bacznie go obserwowała. Początkowo tego się nie dostrzegało, jednak w miarę osłabienia wyraźnie było widać, że mamy swoich opiekunów. Byli oni jak anioły kroczące za tobą krok w krok. Gdy zachwiałeś się oni już byli przy tobie. Dbali nie tylko o to byś wszedł na górę ale także o to byś bezpiecznie z niej powrócił do bazy. Dopiero tam oddalali się dyskretnie. Czynili to tak, że często nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, jednak idąc na górę czuliśmy, że ktoś nad nami czuwa. Sam doświadczyłem tego dwukrotnie gdy moje nogi mimo, iż chciałem je przesunąć do przodu, kierowały się w bok nad przepaść. Wtedy czułem jak ktoś łapie mnie za ramiona i przesuwają na właściwą drogę. To był właśnie mój opiekun idący za mną na wyciągnięcie ręki. Teraz wiem, że zawdzięczam mu życie.

Wreszcie po całonocnym podejściu docieramy do miejsca, z którego widać pierwszy na naszej trasie punkt, który w razie czego uznawany jest za osiągnięcie celu. To Stella Point położona na wysokości 5756 metrów n. p. m.



*Wschód słońca*

Zanim jednak tam doszliśmy byliśmy świadkami niesamowitego zjawiska. Nagle niebo zaczęło robić się pomarańczowe. To wstawało słońce by wreszcie dać nam trochę ciepła. Był to tak niesamowity widok, że nie mogliśmy oderwać od niego oczu. Stanęliśmy tam gdzie akurat byliśmy i wpatrywaliśmy się w zmieniające kolor niebo, na którym zza sąsiedniego szczytu wyłoniła się olbrzymia pomarańczowa kula. Całość trwało ledwie kilka minut. Urzeczeni pięknem zapomnieliśmy o aparatach fotograficznych, które i tak do tej pory nieśliśmy schowane w plecakach. Ledwie udało nam się zrobić po kilka zdjęć.

Teraz po trudach całonocnej bardzo wyczerpującej i niebezpiecznej wspinaczki, gdy zobaczyliśmy jak wstaje nowy dzień wstąpiła w nas nadzieja. Nadzieja na to, że wytrzymamy, że dotrzemy do celu. I tak jak słońce zmienia wszystko, tak dla nas zmieniło się również wszystko. Tak jak słońce rozjaśniło ciemności, tak w nas wstąpiła nadzieja. Tak jak robi się ciepło, tak nam robi się raźniej. To cudowne uczucie.

Niestety jednocześnie z wstaniem nowego dnia zobaczyliśmy drogę, którą pokonaliśmy, ale także drogę która jest jeszcze przed nami. Mimo, iż to tylko 100 metrów w pionie, to wydaje nam się, że to tak daleko, że nigdy tam nie dojdziemy. Nie ma co, ruszamy dalej. W zasadzie idziemy prowadzeni siłą woli. Co chwilę przystajemy by odsapnąć. Dalsza droga wydaje nam się ponad nasze siły. Każdy przystanek jest coraz dłuższy. Zaczynamy mieć wątpliwości czy dojdziemy, całkiem uzasadnione wątpliwości.



Teraz każdy musiał zdecydować czy pójść dalej czy zawrócić. Ja także zaczynałem mieć wątpliwości, jednak gdy mój opiekun podał mi kubek gorącej herbaty, gdy przemówił do mnie spokojnym głosem, od razu poczułem, że muszę iść dalej. Zachęcony do dalszej walki ruszam pod górę. Pozbawiony plecaka, który wziął ode mnie mój opiekun, czuję jak wstępują we mnie nowe siły. Idę wolnym krokiem patrząc na zbliżającą się grań z umieszczoną tablicą przy której kłębi się tłumek ludzi.



*Stella point 5756 metrów n. p. m. – pierwszy ważny punkt na trasie do szczytu*

Jest coraz bliżej. Tuż, tuż. W końcu jakimś nadludzkim wysiłkiem docieram do tablicy. Jestem na Stelli. W zasadzie mam już zaliczone wejście na Kilimanjaro. Jest to bowiem miejsce oficjalnie uznawane za szczyt. Cieszę się jak małe dziecko. Jestem bardzo zmęczony. Jeszcze nigdy żadna góra nie dała mi tak w kość.

Po krótkim odpoczynku i zrobieniu kilku pamiątkowych zdjęć rozmawiam z moim współtowarzyszem i uznajemy, że nie możemy poprzestać na czymś takim. Przecież nie o to nam chodziło. Szybko obliczamy, że do osiągnięcia głównego szczytu Kili pozostało nam niespełna 150 metrów wysokości. Cóż to jest przy tym czego dokonaliśmy do tej pory.

Ruszamy dalej. Widzimy wielki krater. To Kibo. Zaczyna się śnieg. Niestety jest go bardzo mało. Widać, że ocieplenie klimatu dotarło i tutaj. Okazuje się, że do szczytu jest tylko 150 metrów ale w pionie. Tak naprawdę to dobrze ponad kilometr. I mimo, że dalsza droga ma niewielkie nachylenie to jednak nasze zmęczenie co chwilę wymaga od nas przystawania i odpoczynku. Wydaje nam się, że trwa to w nieskończoność. Ponownie mamy obawy czy damy radę. Zwłaszcza, że widzimy jak co chwilę przewodnicy sprowadzają trzymając pod pachy mdlejących ludzi. Zdarza się, że stojący obok człowiek nagle robi się błydy i przewraca na ziemie. To skutek braku powietrza na wysokości prawie sześciu kilometrów nad poziomem morza.

Idąc raz po kamieniach, raz po śniegu, ciągle przybliżamy się do celu. Niestety nie widać go. Musimy obejść krater by wreszcie wyłoniła się tablica informująca, że to jest już najwyższe miejsce. Ja podpierając się kijkami mam wrażenie jakby za chwilę miało mi stanąć serce. Z jednej strony ciągnie mnie w stronę szczytu, z drugiej nie mam ani sił ani chęci by ruszyć z miejsca. Całe szczęście, że grupa podzieliła się i co chwilę ktoś z naszych przechodzi koło mnie. Wtedy podchodzę z nim kilkadziesiąt metrów by znowu odpocząć. Zresztą okazało się, że oni czynią podobnie.



*Resztki śniegu na Kilimanjaro*

Wreszcie widzę tablicę. Przy niej tłum ludzi. Mija mnie prowadzona przez opiekuna dziewczyna, której z oczu płyną łzy. Po jej twarzy widać, że cierpi niesamowicie. Ale nie poddaje się, prze do przodu. Kolejni szczęściarze wracają ze szczytu. Większość ledwo powłóczy nogami. Niektórzy pomagają sobie wzajemnie.

To już tak blisko. Nie ma nad czym się zastanawiać. Jak nie ruszę to już nie dojdę. Nie można zbyt długo odpoczywać bo każdy przechodzący przewodnik daje do zrozumienia: idź do przodu albo wracaj.

Wreszcie jestem na szczycie. Z jednej strony jestem szczęśliwy. Dałem radę, dotarłem na Uhuru Peak (5895 metrów n. p. m.), na Dach Afryki. Jestem szczęściarzem. To niesamowite. Z drugiej strony patrzę, i mimo że widok zapiera dech w piersiach, nie mogę pojąć czemu tu jest tak płasko. Pod nami krater Kibo. Bardzo duży. My oczywiście jesteśmy znacznie wyżej jednak nie tak wyobrażałem sobie szczyt Kili. Myślałem, że to będzie wielka góra. Oczywiście ona jest wielka ale z daleka, z bliska trochę mniejsza.



*Uhuru Peak 5895 metrów n. p. m. – najwyższe miejsce na Kilimanjaro*

Najważniejsze jednak, że jestem tutaj. Gdy serce uspokaja się trochę robię tyle zdjęć ile zdołam. Najważniejsze to te pamiątkowe przy umieszczonym tu



stosownym napisie. Zdjęcia robimy wszyscy. Pojedyncze i grupowe. Przecież taki moment już się nie powtórzy.

Moim celem idąc tu na górę było wejście na szczyt, ale miałem także drugi cel. Jak już wspominałem wcześniej, założyłem na siebie koszulkę z napisem Jelenia Góra w Karkonoszach, chciałem bowiem wnieść tutaj, na Dach Afryki kawałek miejsca, w którym mieszkam. Zdjąłem zatem obie kurtki, słońce pozwalało na to, i zrobiłem zdjęcia w tej koszulce. Mam nadzieję, że będzie to piękna a zarazem wyjątkowa pamiątka z Kili.



*Uhuru Peak – na szczycie z głównym przewodnikiem*

Po kilkunastu minutach obserwujący nas przewodnicy kazali nam się ubrać i ruszać z powrotem na dół. Okazuje się, że dłuższe przebywanie na tej wysokości jest niewskazane. Początkowo wydawało nam się to trochę pochapne ale uświadomiliśmy sobie, że przecież na sąsiednim kontynencie w Himalajach nasi alpiniści założyli bazę wypadową na K2. I oni przebywają właśnie na wysokości Kilimanjaro. Jedyna różnica to to, że u nich jest znacznie więcej śniegu.

Dla ścisłości podam tylko, że na najwyższej górze Afryki, na Kilimanjaro, stanąłem 3 lutego 2018 roku o godzinie 7.45 rano.

Ruszamy w drogę powrotną. Początkowo wcale się nie spieszymy, wciąż podziwiamy wieczne śniegi zalegające w okolicy. Nigdy nie widziałem takiego czegoś. Po drodze mijamy członków naszej grupy, którzy dopiero docierają do szczytu. Ściskamy ich serdecznie dodając im otuchy. Oni ściskają nas z radości, że



my już doszliśmy do celu. I idziemy dalej, każdy w inną stronę. Przy Stelli przystajemy na chwilę by nacieszyć się niesamowitym widokiem rozpościerającym się z tego miejsca. Coś pięknego.



*Jelenia Góra na Kilimanjaro*

Podążamy w dół. Zanim dotrzemy do bazy mamy do pokonania 1,5 km różnicy poziomów. Teraz jest inaczej. Widzimy wszystko, zarówno drogę jak i zbocza. Niestety widzimy także to czego idąc nocą nie widzieliśmy. Dopiero teraz dociera do nas jak strome podejście pokonailiśmy. Teraz, z jednej strony wypada iść jak najszybciej, z drugiej powoli by nie ulec kontuzji. Po chwili przewodnik każe nam zejść z obranej ścieżki by nie przeszkadzać wchodzącym pod górę. Idziemy żlebem pokrytym pyłem wulkanicznym. Każdy krok kończy się kilkumetrowym ślizgiem wywołującym tumany kurzu. Trzeba bardzo uważać by nie połamać sobie nóg. Tym bardziej, że jesteśmy już bardzo zmęczeni. Przecież w drodze jesteśmy już ponad dobę. Po jakimś czasie dostrzegamy naszą bazę, a właściwie miejsce gdzie ona powinna się znajdować. Niestety widzimy, że gdy zejdziemy na dół czeka nas ponowna wspinaczka na grzbiet, z którego prowadzi zejście do bazy.

Prawdę powiedziawszy gdyby nie widok bazy pewnie usiedlibyśmy i po prostu przysnęli trochę. Niestety przewodnik pilnował byśmy cały czas szli przed siebie. W końcu udało się, dotarliśmy do miejsca, z którego w nocy ruszyliśmy pod górę. Dopiero teraz mogliśmy zobaczyć jak strome było nasze podejście. Faktycznie gdybyśmy wyruszyli za dnia część z nas zawróciłaby.

Ponieważ zabrana ilość płynów była niewystarczająca jak na tak długie podejście od jakiegoś czasu nie mieliśmy co pić. Coraz bardziej nam to doskwierało. Dlatego jak po dojściu do namiotów zobaczyliśmy naszego kucharza podającego każdemu wielki kubek soku pomarańczowego byliśmy mu niezwykle wdzięczny. Jeszcze nigdy nie smakował nam żaden sok tak jak ten. Oczywiście było go trochę mało ale mieliśmy ograniczoną ilość płynów. Byliśmy ponad poziomem wypływającej ze źródeł wody.

Teraz powtórzono sytuację z dnia wczorajszego. Kazano nam się położyć w namiotach i spróbować przysnąć. Oczywiście nie było to realne. Po kilku godzinach zaproszono nas na posiłek. W sumie to nie bardzo chciało nam się jeść ale podane na tej wysokości świeże frytki z kurczakiem skutecznie nas przekonały do posilenia się.



*Jeszcze jedno spojrzenie na Kili*

Tak, jak nam zapowiadano, nie mogliśmy zostać tutaj na noc. Nasze organizmy wymagały odpoczynku. Dlatego ruszyliśmy do kolejnej bazy. Mieliśmy zejść o kilometr niżej jednak uprosiliśmy by zatrzymać się w bliższej bazie położonej zaraz poniżej 4 tysięcy metrów. Było to bardzo dobre rozwiązanie. Co prawda wiązało się z koniecznością przejścia jutro bardzo długiego odcinka do bramy parku ale za to mogliśmy szybciej pójść spać. Przed nami kilka godzin marszu. W sumie wędrujemy od 5 rano wczorajszego dnia.

Na razie droga jest jeszcze bardzo kamienista i stroma. Powoli jednak zaczyna pojawiać się pierwsza roślinność. Robi się trochę przyjemniej. Wraz z nami schodzą inne grupy, które tak jak my, osiągnęły cel. Wszyscy są radośni, nikt nie narzeka, wszak jesteśmy zdobywcami. Kilimanjaro to nie byle co. To prawdziwa góra. Najwyższa w Afryce. Mamy powody do dumy. Po drodze napotykamy leżące w krzakach metalowe nosze. Większość z nich wyposażona jest w duże koło. Okazuje się, że to są nosze, którymi zwozi się na dół turystów, którzy zasłabli. Do tego miejsca sprowadza się ich trzymając pod pachy a dalej już sobie zjeżdżają leżąc. Dopiero kilometr przed bramą droga umożliwia dojazd karetki pogotowia. Co chwilę mijamy tragarzy niosących owe nosze pod górę. Okazuje się, że sporo ich wykorzystano w ostatnich dniach. Dopiero teraz dociera do nas jak wielkie mieliśmy szczęście wchodząc na szczyt.

Pod wieczór dochodzimy do bazy High Camp położonej na wysokości 3930 metrów. Tutaj czekają już na nas rozstawione namioty. Możemy zjeść ciepły posiłek, skorzystać z prawdziwej toalety i wreszcie położyć się spać. Przecież jesteśmy na nogach od ponad 36 godzin. Najważniejsze, że wreszcie namioty stoją pośród zielonych krzaków. Mało tego, w toaletach pojawiły się pierwsze muchy. Widać, że pojawia się normalne życie.

### **Dzień szósty**

Rano wstajemy dosyć wcześniej, musimy przejść szmat drogi by przed zmierzchem dotrzeć do bramy parku. Po raz pierwszy nie przywitano nas kubkiem gorącej herbaty. Był to dla nas cios. Gdy wychyłam głowę z namiotu by zobaczyć jak jest na zewnątrz z dachu zsuwa się zmarznięty śnieg i ląduje mi za kołnierzem. Lepszego przebudzenia nie mogłem sobie wymyślić. Od razu byłem gotowy do drogi. Najpierw jednak jemy konkretne śniadanie, ostatnie w takiej formie. Nawet nie wiedziałem, że kasza manna może tak smakować.



*Baza High Camp – 3939 metrów n. p. m.*

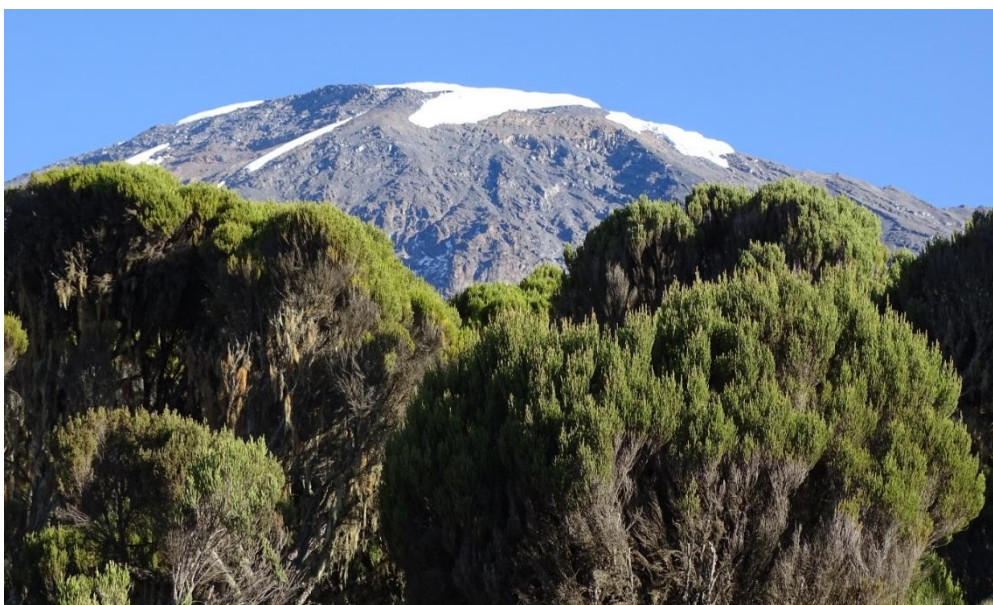
Zanim ruszyliśmy w drogę czekała nas bardzo miła niespodzianka. Do tej pory idąc pod górę kilka razy widzieliśmy, że grupy schodzące bawią się przy śpiewie i tańcach. Nie wiedzieliśmy o co chodzi. Teraz mieliśmy dowiedzieć się wszystkiego. Otóż nasza obsługa przygotowała nam przyjęcie z okazji zdobycia przez nas Kilimanjaro. Najpierw właściciel firmy podziękował nam za udział w wyprawie, za zdobycie góry, później przedstawił z imienia i nazwiska wszystkie osoby zapewniające nam to co potrzebne do przeżycia podczas pobytu w parku. Okazało się, że nasza obsługa czyli przewodnicy, kucharze, ich pomocnicy i tragarze to w sumie 54 osoby. Jak ustawili się razem wyglądali jak mała armia. Do tej pory nie widzieliśmy ich wszystkich więc ich ilość była dla nas prawdziwym zaskoczeniem. Na każdego z nas przypadało trzy osoby obsługi. Ich szef podziękował im za ich postawę, za dobrą pracę, za opiekę nad nami. Każdy z obsługi otrzymał od nas stosowny napiwek. Wielu z nich dostało także ubrania i sprzęt, który nam już nie był potrzebny.

Teraz nasi opiekunowie rozpoczęli zabawę. Odśpiewali nam stosowne piosenki. Jak się okazuje z okazji zdobycia góry należy także odtańczyć pewne tańce. Oczywiście mogliśmy się włączać do zabawy. Później ustawiliśmy się w kółeczko, no duże kółko, by wszyscy idąc po kolei mogli się z nami powitać. Przede wszystkim polegało to na przybiciu żółtawka ale także słyszeliśmy słowo jakie ciągle padały podczas marszu: jambo (przyjacielu).





*Pamiątkowe zdjęcie z ekipa naszych tragarzy, przewodników i kucharzy*



Na koniec zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie tak by widoczna była nad głowami nasza góra. Dopiero teraz mogliśmy spokojnie ruszyć na dół. Początkowo droga była jeszcze stroma, jednak pojawiające się rośliny zupełnie zmieniały powietrze i co chwilę przystawaliśmy by zdjąć kolejną warstwę ubrań i schować je do plecaka. Wkrótce doszliśmy do lasu deszczowego. Na szczęście tym razem nie padał deszcz, a nawet mieliśmy okazję dojrzeć siedzące na gałęziach potężnych drzew małpy.



*Jeszcze można zawrócić*



Gdy wreszcie dotarliśmy do bramy Mweka Gate położonej na wysokości 1640 metrów n. p. m. byliśmy tak radosni, że zrzuciliśmy z pleców wszystkie bagaże i postanowiliśmy wreszcie solidnie odpocząć. Niestety tak się nie stało, przynajmniej w tym momencie. Najpierw podano nam zimne piwo, które omal nie zważyło nas z nóg. Później nabyliśmy jakieś pamiątki i po wypisaniu się z książki wejść pojechaliśmy do pobliskiej miejscowości na świąteczny obiad. Tam też każdy miał możliwość nabycia upominków i pamiątek do domu.





*Baza Mweka Camp – 3100 metrów n. p. m.*

Po drodze zajrzeliśmy do miejscowego kościółka (właściwie to katedry) a później zrobiliśmy stosowne zakupy w delikatesach.

W sumie to tylko marzyliśmy by wreszcie dojechać do naszego hotelu i wziąć porządny prysznic. Tak też się stało. Niestety doświadczyliśmy małej niespodzianki. Po namydleniu ciała okazało się, że w kranie z ciepłą wodą płynie wrzątek, zaś w kranie z wodą zimną leci ukrop. Jak tu się opłukać z piany. W końcu po kilkudziesięciu minutach udało się.

Okazało się jednak, że to nie koniec wrażeń. Po kolacji przyjechał właściciel firmy i kilku przewodników by dokonać uroczystego wręczenia certyfikatów potwierdzających wejście na Kilimanjaro. Oczywiście wszystko odbywało się przy odpowiednich śpiewach. Certyfikat jest podpisany przez dyrektora Narodowego Parku Kilimanjaro i zaopatrzony w kolejny numer. Mój to 895427.

Zadowoleni z otrzymania takiej pamiątki ze zdziwieniem patrzyliśmy jak w innych grupach wręczano tylko po kilka certyfikatów. Okazało się, że tym razem tylko nasza grupa weszła na szczyt w komplecie. Pozostałym się to nie udało.

Zabawa trwała niemal do białego rana ale to, zważywszy na nasze osiągnięcie, nie zdziwi chyba nikogo. Nikomu, mimo ogromnego zmęczenia, nie chciało się iść spać. Przed nami wiele godzin drogi powrotnej, będzie zatem kiedy odpocząć.

Rano przybyła kolejna grupa mająca wyruszyć na Kili. Było ich o połowę mniej niż nas. Ucieszyli się dowiedziawszy się o naszym sukcesie ale szybko wyczuliśmy, że ci ludzie nie zgrają się tak jak my. A dobra atmosfera podczas wspinaczki i zgranie ekipy to dobry zadatek do osiągnięcia sukcesu.



*Właśnie otrzymałem certyfikat potwierdzający moje wejście na Kilimanjaro*

Teraz pozostało nam tylko wrócić do kraju. Najpierw przewieziono nas samochodem na lotnisko Kilimanjaro, później przelecieliśmy samolotem do Addis Abeby, by w końcu dotrzeć do Wiednia skąd dotarliśmy do Warszawy.

Zaskoczeniem dla nas było jedynie spotkanie na polach w Tanzanii naszych bocianów. Chociaż powinniśmy wiedzieć o tym, że one też podróżują. Przecież u nas jest teraz zima.

Aby jednak nie było zbyt nudno zaraz na lotnisku Kilimanjaro wynikło pewne zamieszanie. Otóż pani mająca odprawić nasze główne bagaże zagadała się, i jak się okazało w Warszawie omyłkowo oznaczyła bagaż naszej koleżanki. W ten sposób zamiast swojego plecaka z pamiątkami dla rodziny z taśmy zdjęła jakiś brudny stary worek. Dzięki tej niespodziance straciliśmy sporo czasu by złożyć reklamację. Ciekawe czy uda się jej odzyskać właściwy plecak.

Po pożegnaniu przemieściłem się na dworzec kolejowy by wsiąść do pociągu na Jelenią Górę i dotrzeć do domu. W międzyczasie sprawdziłem czy mam naszyjnik, który wniosłem na szczyt. Na szczęście był. Niestety gdy kilka dni później pojechałem na targi poznańskie ktoś „zjął” naszyjnik z żony szyi. Nie była z tego



zadowolona, a gdy zostały odczytane dane z rejestratora i okazało się, że podczas ataku szczytowego mój organizm miał dotlenienie na poziomie 80 % a puls dochodził do 219 jej ocena mojego wejścia na Kilimanjaro nie była już tak pobłażliwa. Ja jednak myślę, że było warto wybrać się na taką wyprawę. Zdobyłem perelkę w Koronie Ziemi. Jest to co prawda mój pierwszy szczyt z listy ale za to ten najpiękniejszy. Cieszę się, że udało mi się wejść na Białą Górę i, że udało mi się z niej szczęśliwie zejść. Wiem, że nawet jeśli nie wejdę już na żaden z pozostałych szczytów widok jaki ujrzałem z Dachy Afryki pozostanie w mojej pamięci do końca życia i każde wspomnienie przeżytych tam chwil wywoła uśmiech na mojej twarzy. Nawet wtedy gdy przypomnę sobie, że droga na szczyt zajęła mi sześć dni podczas których pokonałem 100 kilometrów (62 pod górę i 38 w dół) oraz 10 tysięcy metrów przewyższenia.

## **Region jeleniogórski na Tour Salonie 2018**

W dniach 9-11 lutego 2018 roku w Poznaniu odbyły się Targi Regionów i Produktów Turystycznych. Nasz region był reprezentowany przez Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy działającą w Związku Gmin Karkonoskich. Pracownia, za zdobycie w zeszłym roku II miejsca w Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej za cykl wydawniczy „Zeszyty Historyczne”, otrzymała możliwość bezpłatnego wystawienia się na stoisku Polskiego Towarzystwa Turystyczno Krajoznawczego. W związku z tym prowadzący pracownię Krzysztof Tęcza oraz wolontariusze Anna Tęcza, Tomasz i Dorota Łuszczyński zachęcali widzów do odwiedzania Karkonoszy i okolic. Wszyscy przedstawiali walory krajoznawcze na naszym terenie i odpowiadali na tysiące pytań o historię, ciekawe obiekty czy możliwości noclegów oraz dojazdu do Jeleniej Góry. Poproszone firmy i instytucje o przekazanie stosownych materiałów bardzo chętnie udostępniły wiele publikacji, folderów i innych materiałów reklamowych. Niektóre przekazały ciekawe eksponaty historyczne związane z działaniami podejmowanymi lata temu. Firma WióRaMa użyczyła piękny model pałacu Paulinum a Grupa Karkonoska Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego wypożyczyła bardzo ciekawe elementy starego ekwipunku używanego przez ratowników kilkadziesiąt lat temu.



Największym zainteresowaniem wśród publiczności cieszyły się przekazane przez Karkonoski Park Narodowy publikacje dotyczące przyrody Parku. Wydawnictwa Parku, wykonane z wielką starannością, a do tego bardzo rzetelne jeśli chodzi o treść, pozwalają na zapoznanie się z różnymi walorami jakie znajdują się na terenie Parku ale także zachęcają do planowania wycieczek w nasze strony by na własne oczy przekonać się, że pokazywane osobliwości naprawdę istnieją i są takie piękne. Duże zainteresowanie wzbudziły egzemplarze wydawanego przez Karkonoski Park Narodowy Czasopisma Sudetów Zachodnich Karkonosze. Współwydawcą jest Związek Gmin Karkonoskich.

Nie mniej ciekawe wydawnictwa przekazał Dolnośląski Zespół Parków Krajobrazowych, miasto Jelenia Góra czy Starostwo Powiatowe w Jeleniej Górze. Zaprezentowali się także: Fundacja Doliny Pałaców i Ogrodów Kotliny Jeleniogórskiej, Pałac Pakoszów, Pałac Wojanów, Muzeum Sportu i Turystyki w Karpaczu, Huta Julia w Piechowicach, Filharmonia Dolnośląska w Jeleniej Górze, Muzeum Karkonoskie, miasta Kowary i Karpacz. Bardzo bogatą ofertę przekazali nasi sąsiedzi z Czech a także jeleniogórskie wydawnictwo Ad Rem. Oczywiście swoje wydawnictwa prezentował Związek Gmin Karkonoskich i Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy działająca w Związku. Prezentowano także oryginalny produkt regionalny jakim jest Likier karkonoski.

Według szacunków przez targi przewinęło się kilka tysięcy widzów, co jest dosyć dobrym wynikiem. Wielu z odwiedzających poszczególne stoiska deklarowało chęć odwiedzenia Kotliny Jeleniogórskiej.

W sobotę 10 lutego 2018 roku najważniejszym wydarzeniem było uroczyste wręczenie nagród przyznanych w ramach 26. Ogólnopolskiego Przeglądu Książki Krajoznawczej i Turystycznej organizowanego przez Międzynarodowe Targi Poznańskie, Samorząd Województwa Wielkopolskiego i Polskie Towarzystwo Turystyczno Krajoznawcze. Przegląd został objęty patronatami honorowymi: Ministerstwa Sportu i Turystyki, Polskiej Organizacji Turystycznej, Marszałka Województwa Wielkopolskiego, Polskie Towarzystwo Wydawców Książek i Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie. Właściwą imprezę przygotowała Centralna Biblioteka PTTK im. Tadeusza Kulwiecia w Warszawie, i tam obradowało jury Przeglądu pod przewodnictwem prof. dr hab. Janusza Zdebskiego.



*Foto: Anna Tęcza*

Publikacje zgłoszone do Przeglądu oceniane były w pięciu kategoriach: albumy krajoznawcze, przewodniki, monografie oraz inne opracowania krajoznawcze, mapy i atlasy, wydawnictwa dla dzieci, informatory krajoznawcze. W poszczególnych kategoriach pierwsze miejsca zajęły: album „O tatrzańskich pocztówkach”, przewodnik „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie”, opracowania „Bojkowszczyzna zachodnia – wczoraj, dziś i jutro” i „Dzieje zabawek dziecięcych na ziemiach polskich na początku XX wieku”, mapa „Trójkąt Lidzbarski: mapa turystyczna fortyfikacji na terenie Nadleśnictwa Zaporowo. Odcinek 1: Frombork – Płoskiński Młyn”, cykl wydawniczy dla dzieci: „Podróżownik. Świętokrzyskie”, „Podróżownik. Tatry i Pieniny”, „Podróżownik. Warmia i Mazury”, „Podróżownik. Wybrzeże Polski”, informator krajoznawczy „Love W\_M Przegląd turystyczny. Kocham Warmię i Mazury”.

Miło mi donieść, że wśród nagrodzonych są także pozycje z naszego terenu. II miejsce wśród przewodników zdobyła pozycja „Architectural Guide: Wrocław”, Wydawnictwo DOM publishers, Berlin 2017; III miejsce otrzymał zestaw map Dolnośląskiego Zespołu Parków Krajobrazowych, Wydawnictwo Kartograficzne Eko-Graf, Wrocław 2017.



*Foto: Anna Tęcza*

Wśród wyróżnień Dyplom Prezesa PTTK przyznano pozycji „Kamienne krzyże na Śląsku, Górnych Łużycach i ziemi kłodzkiej” wydanej przez Oficynę Wydawniczą ATUT – Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2017.

Dyplom Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK przyznano dla Wydawnictwa Poligrafia Ad Rem z Jeleniej Góry za przewodnik emocjonalny „MIEDZIANKA. Przewodnik po mieście, którego nie ma”. Nagrodę odebrała właścicielka wydawnictwa Regina Chrześcijańska oraz autor przewodnika Jarosław Szczyżowski.



## **W Szklarskiej Porębie wszystkie drogi prowadzą do Wlastimilówki**

We wtorek 27 lutego 2018 r. w Ośrodku Szkoleniowo-Wypoczynkowym Politechniki Wrocławskiej RADOŚĆ miało miejsce „Spotkanie w sprawie Hofmana”. Organizatorem wydarzenia było Stowarzyszenie „Nowy Młyn” Kolonia Artystyczna w Szklarskiej Porębie oraz Miejski Ośrodek Kultury, Sportu i Aktywności Lokalnej.

Głównym punktem programu była prezentacja książki „W Szklarskiej Porębie wszystkie drogi prowadzą do Wlastimilówki”. W publikacji zawarto, przygotowane przez Katarzynę Kułakowską, kalendarium życia Wlastimila Hofmana oraz, przygotowaną przez Sandrę Nejnarowską, analizę wierszy malarza. Główną jednak częścią książki, napisaną przez Bożenę Danielską, jest przedstawienie twórczości mistrza jak i jego osobie, jego najbliższych, a także osoby, które zaistniały w życiu Wlastimila Hofmana. To właśnie z tego rozdziału dowiemy się jak układało się życie mistrza, jak rozwijał się jego talent, czy w końcu jak Wlastimil wrastał w społeczeństwo Szklarskiej Poręby i jak był odbierany przez sąsiadów i turystów.



Publikacja zawiera aneksy, w których ks. prałat Józef Frąc opisuje historię obrazu namalowanego dla kościoła w Sobieszowie; Tomasz Frąc przedstawia Wlastimila jako patrona kierowanej przezzeń Szkoły Podstawowej nr 5 w Szklarskiej Porębie; Krzysztof Tęcza przybliży wycieczki „Szlakiem Wlastimila Hofmana” organizowane przez Mariana Capa; a Feliks Rosik przedstawia działania podejmowane w ramach ogłoszonego przez Radę Miejską Szklarskiej Poręby „Roku Wlastimila Hofmana”.

Po przywitaniu przybyłych na spotkanie oraz osób biorących czynny udział w imprezach towarzyszących w „Roku Hofmana” Anita Kaczmarek przekazała głos Bożenie Danielskiej, głównej sprawczyni dzisiejszego wydarzenia. Prezentowana bowiem książka to wynik jej kilkumiesięcznej pracy. Myliłby się jednak ten kto pomyśli, że redagująca książkę, miała łatwe zadanie. Sama redakcja to tylko końcowy etap pracy. Najwięcej jednak czasu pochłania namówienie innych do napisania kolejnych rozdziałów, przede wszystkim do dyscyplinowania czasowego autorów, ale także do pilnowania by trzymali się oni zadanego tematu. Bożenie doskonale się to udało i dzisiaj mogła spokojnie przedstawić poszczególne tematy zawarte w książce oraz zadać autorom pytania dotyczące ich pracy.

Prezentowana publikacja została wydana dzięki środkom finansowym Miasta Szklarska Poręba oraz Związku Gmin Karkonoskich. Sprawami edytorskimi zajmowała się Regina Chrześcijańska z wydawnictwa Ad Rem. Nad uzupełnieniem, jakim jest płytka z filmem Henryka Szoki oraz zdjęciami prezentującymi powojenną twórczość Wlastimila Hofmana i jego rodziny, pracował Krzysztof Sawicki. Słowa podziękowania za działania podejmowane w ciągu całego roku usłyszeli także: Zbigniew Dygdałowicz, o. Zygmunt Mikołajczyk, Wacław Jędrzejczak, Krystyna i Andrzej Czerniccy, Jan Flieger, Krystyna Trylańska, Krystyna i Agata Roszkiewicz, Aleksandra Szaszkiwicz, państwo Karwińscy, Małgorzata Fedorowicz, Grzegorz Panowicz, Maria Kuchcińska, ks. Lasek, Przemysław Wiater, Gabriela Zawita, Anna Jezierska, Olga Szczyżowska, Dominika Waligóra, Anna Razowska, Iza Broś, Teresa Osowska, Roman Ryttau, Bohdan Ginter, Janina Gerczak, Robert Koter, o. Maksymilian Januszkiwicz, Anna Szczodrak.



Oddzielne podziękowania otrzymał Jerzy Nowicki, miłośnik twórczości Hofmana, wielki znawca jego życiorysu, który udostępnił materiały o Hofmanie jakie zgromadził przez lata poszukiwań.

Dziękujący wszystkim za aktywność burmistrz Szklarskiej Poręby Mirosław Graf przypomniał spotkanie sprzed roku kiedy podjęto stosowną uchwałę dotyczącą obchodów „Roku Hofmana”. Wyraził także nadzieję, że koniec oficjalnych działań nie oznacza końca myślenia o Hofmanie. Uznał, iż dzięki wzrostowi świadomości mieszkańców co do wartości posiadania takiego dziedzictwa będą oni wciąż podejmowali nowe działania by podtrzymać osiągnięte efekty.

Podczas spotkania goście mogli obejrzeć obrazy prezentowane w ramach wystawy poplenerowej „Inspiracje Hofmanowskie – artyści w hołdzie Hofmanowi”. Plener zorganizowany przez Miejski Ośrodek Kultury, Sportu i Aktywności Lokalnej w Szklarskiej Porębie w ramach unijnego projektu „Świat według Hofmana” pozwolił na przybliżenie postaci malarza mieszkańcom ale także przebywającym tu turystom. Prace powstałe podczas pleneru zostały uwiecznione w obszernym katalogu. W plenerze uczestniczyli: Marek Andała, Marta Andała, Lukáš Černý, Hana Chlumská, Ilona Chvalová, Janusz Konecki, Beata Kornicka-Konecka, Monika Krakowska, Daria Martinovská, Dariusz Miliński, Agnieszka Mitura, Janusz Motylski, Ludmiła Riabkova, Agata Roszkiewicz, Lucrezia Škaloudová Puchmajerová i Bogumiła Twardowska-Rogacewicz.



Niestety „Rok Wlastimila Hofmana” oficjalnie został uznany za zakończony. W trakcie trwania tego projektu zrealizowano wiele ciekawych zadań. Niektóre z tych wydarzeń były niejako przypomnieniem życia i twórczości tego najbardziej znanego mieszkańca Szklarskiej Poręby. Niektóre rzuciły nowe światło na czasy, w których on żył, ale wszystkie były niezwykle potrzebne. Działania te wywołały spore zainteresowanie samym artystą ale także, a może przede wszystkim, przyczyniły się do zwiększonego ruchu turystycznego, częściowo ukierunkowanego na miejsca związane z malarzem. Przekłada się to na większy ruch turystyczny w obiektach, w których znajdują się dzieła mistrza ale głównym celem turystów jest Wlastimilówka, dom w którym Hofman żył i tworzył. I może to zainteresowanie przysłuży się temu miejscu wywołując w nim „nowe życie”.

Na koniec zebrani dowiedzieli się, że jeszcze w tym roku podjęte zostaną działania zmierzające do wytyczenia w terenie „Szlaku Hofmana”. Marlena Grochowska jest pewna, że już na początku lata zobaczymy na nowym szlaku pierwszych turystów.

## **Pierwsza wycieczka Rajdu na Raty 2018 – rozpoczęcie sezonu turystycznego**

W ostatnią niedzielę lutego 2018 r. Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił turystów na pierwszą w tym sezonie wycieczkę z cyklu Rajd na Raty. Zanim przejdę do opisu wycieczki podam podstawowe informacje o rajdzie organizowanym już 48 rok. Rajd na Raty to cykl wycieczek prowadzonych przez działaczy PTTK posiadających uprawnienia przewodnickie lub przodownickie. Aby wziąć udział w wycieczce nie trzeba załatwiać żadnych formalności. Wystarczy przeczytać zamieszczane w Internecie ogłoszenie i stawić się na miejscu zbiórki. Udział w wycieczkach jest bezpłatny, uczestnicy pokrywają tylko koszty transportu czy wstępu do zwiedzanych obiektów. Ze względów bezpieczeństwa każdy uczestnik powinien ubezpieczyć się od następstw nieszczęśliwych wypadków. Członkowie PTTK z ważną legitymacją objęci są ubezpieczeniem w ramach opłaconej składki.

Wycieczki piesze o długości 12-20 km organizowane są w okresie od ostatniej niedzieli lutego do pierwszej niedzieli grudnia. Organizowane są także wycieczki autokarowe jedno bądź kilkudniowe. W roku obecnym zaplanowano m. in. wycieczki w Bieszczady i na Ukrainę. O szczegóły należy dowiadywać się w jeleniogórskim biurze PTTK lub na stronie internetowej Oddziału.





*Foto: Anna Tęcza*

Pierwsza tegoroczna wycieczka miała miejsce 25 lutego 2018 r. Prowadzący ją przewodnik sudecki Jarosław Kapczyński poprowadził uczestników na Górę Gapy gdzie niedawno dzięki staraniom urzędników miasta Jeleniej Góry zadbano o poprawienie bezpieczeństwa wędrujących turystów ustawiając na punkcie widokowym barierki. Oprócz tego umieszczono stosowną tablicę z podstawowymi informacjami o tym miejscu.

Turyści po krótkim acz męczącym spacerze zeszli leśną drużką biegnącą pomiędzy Zamczyskiem a Wieżycą do kładki ułożonej nad jeziorem Modrym, po której przedostali się na lewy brzeg Bobru. To tutaj znajduje się gościniec „Perła Zachodu”. Jest to miejsce nie tylko zachęcające do odpoczynku ale pozwalające schronić się w razie zmiany pogody.

Ponieważ pierwsza wycieczka jest okazją do spotkania po zimowej przerwie zaplanowano uroczyste otwarcie sezonu turystycznego na Polance Śledzikowej, gdzie znajduje się wiata wypoczynkowa zapewniająca odpowiednie warunki do zjedzenia wspólnego posiłku. Poza tym przygotowano tam miejsce do bezpiecznego rozpalenia ogniska.



*Kierownik rajdu Wiktor Gumprecht wręcza odznakę GOT Radkowi Paziowi*

I właśnie w tak urokliwym miejscu kierownik Rajdu Wiktor Gumprecht dokonał oficjalnego otwarcia sezonu. Przybyły prezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” podziękował zarówno jemu jak i prowadzącemu pierwszą wycieczkę Jarkowi Kapczyńskiemu wręczając im stosowne upominki (przewodniki). Podczas takich spotkań wyróżniani są także turyści, którzy zdobywają różnego rodzaju odznaki turystyczne. Tym razem Wiktor wręczył Górską Odznakę Turystyczną w stopniu małym złotym Radkowi Paziowi. Gratulujemy i życzymy zdobycia kolejnego stopnia.

Dodam tylko, że w pierwszej w tym roku wycieczce Rajdu na Raty wzięło udział ponad sześćdziesiąt osób.

## **Ogólnopolski Młodzieżowy Konkurs Krajoznawczy „Poznajemy Ojcowiznę 2018”**

W niedzielę 25 lutego 2018 r. w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu miało miejsce zakończenie etapu wojewódzkiego Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy Ojcowiznę 2018”. Konkurs, organizowany przez Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze nieprzerwanie od 1994 roku jest inicjatywą z zakresu edukacji krajoznawczo-turystycznej, kierowaną do dzieci i młodzieży szkolnej. Celem konkursu jest przede wszystkim zachęcenie młodzieży do poznawania Ziemi Ojczystej, promowania Małych Ojczyzn, dziedzictwa

narodowego. W szczególności chodzi o rozwijanie wśród dzieci i młodzieży umiejętności dostrzegania walorów krajoznawczych i kulturowych swojego regionu. Ale nie tylko, chodzi także o to by młodzi ludzie pozyskaną wiedzę potrafili udokumentować poprzez wykonywanie rysunków, fotografii czy nagrań dźwiękowych lub filmowych. By potrafili także zgromadzoną wiedzę dzielić się z innymi. Młody człowiek poprzez udział w konkursie często pozyskuje wiedzę o swojej rodzinie, o tym co przeżyli jego bliscy i jak przebiegało ich życie. Często historie opowiadane przez rodziców czy dziadków wtapiają się w ważne wydarzenia historyczne dotyczące naszego narodu. Są ich częścią. Dzieci dzięki pozyskiwaniu takiej wiedzy zmieniają swoje patrzenie na osoby starsze. Poprzez czyny swoich przodków widzą jak powinien zachowywać się porządny człowiek. Na jakie cechy charakteru powinni zwracać uwagę.



Poprzez udział w konkursie dzieci i młodzież z różnych środowisk integruje się, a dzięki pisaniu prac zbiorowych uczy się pracy w zespole. Nie bez znaczenia jest podejmowanie pracy przy poszukiwaniu dokumentów i materiałów potrzebnych do realizacji zadania. To z kolei rozwija ich zdolności radzenia sobie w różnych sytuacjach.

Prace zgłaszane do konkursu oceniane są w kategoriach szkół podstawowych, gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. W każdej z grup przyznawane są trzy miejsca, z tym że prace dzieli się na prace indywidualne, zbiorowe i multimedialne.

Prace nadsyłane do konkursu są oceniane na etapach wojewódzkich, a nagrodzone przechodzą na etap centralny, który odbywa się w Warszawie. Jeśli chodzi o Dolny Śląsk, to już po raz trzeci eliminacje na szczeblu wojewódzkim organizowane są przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze oraz Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy działającą w Związku Gmin Karkonoskich, a ogłoszenie wyników ma miejsce w Bukowcu.

W roku obecnym do etapu wojewódzkiego konkursu „Poznajemy Ojcowiznę” nadesłano 54 prace, w tym 31 prac na poziomie szkół podstawowych, 17 na poziomie gimnazjów i 6 na poziomie szkół ponadgimnazjalnych. Ponad 80-ciu uczniów biorących bezpośredni udział w pisaniu prac na etapie wojewódzkim oraz 30 opiekunów reprezentowało szkoły z: Bolesławca, Dąbrowy Bolesławieckiej, Domaszkowa, Jaroszowa, Jelcza Laskowic, Jeleniej Góry, Karpacza, Legnicy, Lubania, Lubina, Lwówka Śląskiego, Mysłakowic, Nowogrodźca, Polkowic, Siedlęcina, Strzegomia, Świeradowa Zdroju, Wałbrzycha i Wrocławia.

Wyniki Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy Ojcowiznę 2018” (etap wojewódzki-dolnośląski):

Szkoły podstawowe – prace indywidualne

1. Opowieść o pradziadku, który schował się za obrazem Matki Boskiej – autor Katarzyna Klimek, opiekun Sylwia Parada, Szkoła Podstawowa im. B. Chrobrego w Nowogrodźcu.
2. Artystyczny Wrocław – moja ścieżka krajoznawczo-turystyczna - autor Kinga Kornacka, opiekun Radosław Kalka, SP nr 113 im. Adama Rapackiego we Wrocławiu.
3. Szczepan, Cecylia i ja – autor Karolina Rymanowicz, opiekun Beata Toporowska, Niepubliczna SP Szkoła 707 w Karpaczu.

Szkoły podstawowe – prace zbiorowe

1. W dół rzeki – nasza leśniczka Bystrzyca – autorzy: Kamil Smyka, Anna Ogiba i Justyna Gawrońska, opiekunowie: Iwona Roman-Maciejewska i Piotr Staniów, SP nr 51 im. Jana Pawła II we Wrocławiu.
2. Zsyłka – autorzy: Julia Szarata i Julia Tomala, opiekun Bogdan Darus, Publiczna Szkoła Podstawowa nr 2 w Jelczu Laskowicach.
3. Kronika turystycznych „przypadków” – czyli 7 lat naszej wędrówki – autorzy: Dominik Dręgowski, Daniel Kalbarczyk i Wiktor Łyszkowski, opiekun Beata Witek, SP nr 19 w Legnicy.

Szkoły podstawowe – prace multimedialne



1. Apteka pod Złotą Wagą – autorzy: Joanna i Hanna Bielasik, opiekun Beata Toporowska, Niepubliczna SP Szkoła 707 w Karpaczu.
2. Moja szkoła, moja wieś – autor Kornel Wecał, opiekun Joanna Rentflejsz-Panek, SP w Mysłakowicach.
3. Moja szkoła, historia i tradycja SKKT PTTK w mojej szkole. Współpraca z PTTK Międzygórze – autorzy: Gabriela Miśków i Daria Serafinowicz, opiekun Bożena Gałusza, Zespół Szkolno-Przedszkolny im. Przyjaciół Dzieci w Domaszkowie.

#### Gimnazja – prace indywidualne

1. Niby zwyczajny, a jednak... - autor Katarzyna Salawa, opiekun Teresa Fierkowicz, Gimnazjum nr 1 im. Ratowników Górskich w Świeradowie Zdroju.
2. Owoc kwiatu Europy – mała monografia starego ratusza we Wrocławiu – autor Natalia Witosza, opiekun Anna Polańska, Gimnazjum nr 30 we Wrocławiu.
3. Miedź – bogactwo regionu – autor Szymon Najdziński, opiekun Anna Motak, Gimnazjum SP nr 9 w Legnicy.

#### Gimnazja – prace zbiorowe

1. Nasza Ojcowizna – autorzy: Agata Pejta i Natalia Machnikowska, opiekun Bronisława Czapla, Klasa Gimnazjalna Zespół szkolno-Przedszkolny im. Janusza Korczaka w Jaroszowie.
2. Dolina Pałaców i Ogrodów – autorzy: Natalia Warnicka i Wiktoria Sałata, opiekun Małgorzata Żuchowska, Gimnazjum SP nr 11 im. Fryderyka Chopina w Jeleniej Górze.

#### Gimnazja – prace multimedialne

1. Miasto z jednej gliny – autorzy: Sandra Flis i Malena Droszczak, opiekun Jolanta Smolińska-Yacubi, Klasa Gimnazjalna SP nr 2 w Bolesławcu.
2. Ocalić od zapomnienia, czyli historia naszej szkoły – autorzy: Magdalena Urbanowicz, Natalia Kołodziejska i Gabriela Klimek-Rozenblat, opiekun Anna Motak, Klasa Gimnazjalna SP nr 9 w Legnicy.
3. Śladami wrocławskich krasnali – autorzy: Hanna Zydek, Aleksandra Musz i Julia Jaskóła, opiekun Izabela Hauke, Gimnazjum nr 16 Wrocław.

#### Szkoły ponadgimnazjalne – prace indywidualne

1. Mój dom rodzinny – autor Jakub Pachuta, opiekun Barbara Herudzińska-Młynarz, Technikum nr 1 Zespół Szkół nr 1 w Lublinie.

2. Dzieje mojej rodziny – autor Paulina Kochman, opiekun Magdalena Kozicka-Dygdałowicz, Zespół Szkół nr 2 im. Jana Wyżykowskiego w Lublinie.

Szkoły ponadgimnazjalne – prace zbiorowe

1. Szyszkowa – wieś na końcu świata? – autorzy: Natalia i Magdalena Kowalczyk, opiekun Kinga Gordon-Sieradzka, Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych im. Adama Mickiewicza w Lubaniu.

Szkoły ponadgimnazjalne – prace multimedialne

1. Lubin – autor Diana Choma, opiekun Joanna Grodzka, Zespół Szkół nr 2 w Lubinie.
2. Chodząca historia – autor Paweł Gronostal, opiekun Barbara Herudzińska-Młynarz, Technikum nr 1 Zespół Szkół nr 1 w Lubinie.
3. Zabytki Zimnej Brzeźnicy – autor Dominik Skokowski, opiekun Barbara Herudzińska-Młynarz, Technikum nr 1 Zespół Szkół nr 1 w Lubinie.

Na koniec podam, że prace prace oceniała komisja w składzie: Krzysztof Tęcza (przewodniczący), Andrzej Mateusiak i Janusz Turakiewicz, a w sprawnym przebiegu spotkania pomagała jako wolontariusz Anna Tęcza (Instruktor Krajoznawstwa Regionu).

**Wydawca:**  
**Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"**  
**Jelenia Góra – luty 2018**  
**Tekst i foto: Krzysztof Tęcza**